

SŁOWO

WILNO, Piątek 25 grudnia 1931 r.

Redakcja i Administracja, Wilno Zamkowa 2. Otwarta od g 9 do 4. Telefony: Redakcji — 17-82, Administracji — 228.

PRENUMERATA miesięczna z odniesieniem do domu lub z przesyłką pocztową 4 zł., zagranicę 7 zł. Konto czekowe P.K.O. 30259. W sprzedaży detalu, cena pojedynczego n-ru 20 gr.

Oplata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Redakcja rękopisów niezamówionych nie zwraca. Administracja nie uwzględnia zastrzeżeń co do rozmieszczenia ogłoszeń.

BIENIAKOWIE — Bułt Kolejowy.
BRASLAW — Księgarnia T-wa „Lot”.
BARANOWICZE — ul. Szeptyckiego — A. Laszuk.
DĄBROWICA (Polesie) — Księgarnia K. Małkowskiego.
DUKUSZY — Bułt Kolejowy.
GLEBKIE — ul. Zamkowa — W. Włodzimierz.
GRÓDNO — Księgarnia T-wa „Ruch”.
HORODZIEJ — Dworzec Kolejowy — K. Smarzyński.
IWIEŃCIE — Sklep tytoniowy — S. Zwierzyński.
KLECK — Sklep „Jedność”.
LIDA — ul. Suwalska 13 — S. Mateski.
MOŁODECZNO — Księgarnia T-wa „Ruch”.

PRZEDSTAWICIELSTWA:

NIESWIEZ — ul. Ratuszowa — Księgarnia Jazwińskiego.
NOWOGRODEK — Kłusk St. Michałskiego.
OSZMIAŃ — Księgarnia T-wa „Ruch”.
OSZMIAŃ — Księgarnia Spółdz. Nauz.
PINSK — Księgarnia Polska — St. Bednarski.
POSTAWY — Księgarnia Polskiej Macierzy Szkolnej.
STOLPCE — Księgarnia T-wa „Ruch”.
SLONIM — Księgarnia D. Lubowskiego, ul. Mickiewicza 11.
ST. ŚWIECIANY — M. Lewin — Biuro Gazetowe, ul. 3 Maja 8.
WILEJKA POWIATOWA — ul. Mickiewicza 24. P. Juczewski.
WARSZAWA — Tow. Księgarni Kol. „Ruch”.

CENY OGŁOSZEŃ: wiersz miłomietrowy jednosłupowy na stronie 2-ej i 3-ej gr. 40. Za tekstem 15 gr. Komunikaty oraz nadesłane miłomietrowe 50 gr. Kronika reklamowa miłomietrowa 60 gr. W numerach świątecznych oraz z prowincji o 25 proc. drożej. Zagraniczne 50 proc. drożej. Ogłoszenia cyfrowe i tabelaryczne o 50 proc. drożej. Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń co do miejsca. Terminy druku mogą być przez Administrację zmieniane dowolnie. Za dostarczenie numeru dowodowego 20 gr.

NIE CHCEMY NIEPOROZUMIEŃ POMIĘDZY KOŚCIOŁEM A PAŃSTWEM

Święta tegoroczne i następujący w ślad za nimi koniec roku powinny być dla nas wszystkich nietylko chwilą wytchnienia od szarpiącego nerwy gończącego życia codziennego, ale przedewszystkiem może chwilą zastanowienia.

Kończy się rok, którego nikt chyba żałować nie będzie. Kończy się pod znakiem kurczenia się pracy, ruiny warsztatów wytwórczych, dla wielu pod znakiem nędzy i głodu, kończy się również pod znakiem nienawiści skłóconych stronnictw politycznych i niema chyba dziedziny życia, gdzieby hasłem powszechnym nie była walka zamiast współpracy i zgodnego wysiłku. Owszem jest dziedzina i to jedna z najważniejszych, w której dotychczas w Polsce walki nie było. Jest to dziedzina stosunków Kościoła do Państwa.

Dla wszystkich, którzy za dni parę łamać się będą oplatkiem w obliczu promieniującego złobka, którzy na pastercie słuchają będą dźwięków polskiej kolendy, którzy nie stracili jeszcze zrozumienia dla wezwania „pokój ludzom dobrej woli”, dla tych wszystkich dręczącym pytaniem, godnym zastanowienia będzie — czy w Polsce ma i może być zachowany pokój religijny, czy też do innych naszych bied i nieszczęść mamy z lekkim sercem dorzucić i tę najgorszą może, jaką dla wszystkich państw i społeczeństw jest zawsze walka Państwa z Kościołem.

Obóz zachowawczy w Polsce i jego parlamentarna reprezentacja uważają za jedno z najważniejszych swych zadań zaoszczędzenie Polsce tej walki i związanych z nią wstrząsów. Prowadząmy tę pracę nie od dzisiaj, prowadzimy ją cicho, bez reklamy i rozgłosu, mamy w niej pewne doświadczenie i spoglądamy z zadowoleniem na osiągnięte rezultaty. Dziś, gdy i na tem polu sytuacja się zaostrza, mamy nietylko prawo,

ale i obowiązek otworzenia oczu własnych i cudzych na niebezpieczeństwo możliwego konfliktu, a zarazem na możliwości usunięcia jego powodów.

Powiedzmy tu odrazu: Rząd Rzeczypospolitej tego konfliktu nie pragnie. Nie chcemy być gołostowni i powoływać się tylko na nasze doświadczenie lub zakonspirowane wiadomości, więc przytoczymy jeden tylko, ale przekonywujący dowód. Rząd oddał w

ręce jednego ze swych najwyższych urzędników państwowych pieczę nad stosunkami Państwa do Kościoła, zrobił z niego, że się tak wyrażę, sędzię i arbitra tego, na co pozwala interes Państwa i tego, czego wymaga interes Kościoła. Tym wysokim urzędnikiem państwowym jest kapłan katolicki, wybitny rozumem, doświadczeniem i wiedzy prawnik — kanonista. Nie znam przykładu, żeby jakiegokolwiek in-

stwo współczesne w ten właśnie sposób zaznaczyło swą gotowość i wolę współpracy z czynnikami kościelnymi. Inny przykład. Między Kościołem a Państwem zawarta została umowa, tak zwany konkordat, i ta umowa, prawda, że powoli i nie bez trudności, ale się realizuje.

Kościół Katolicki ze swej strony również nie dąży do walki z Państwem nigdzie, a tem bardziej nie dąży do te-

go w Polsce, która się cieszy wyjątkowymi względami najwyższego przedstawiciela i dostojnika Kościoła na ziemi — Ojca Świętego.

Gdyby zatem tylko o te najwyższe czynniki z jednej i z drugiej strony chodziło, wszystko byłoby łatwe do ułożenia. Niestety, w grę wchodzi czynniki inne hierarchicznie niższe, nie pozbawione jednak ani wpływu, ani praktycznego znaczenia.

W obozie rządowym znajdują się elementy antyklerykalne lub akatolickie, jeżeli kto woli — wolnomyślnie, dla których zatarg, o którym piszemy, nie stanowi żadnej groźby, owszem byłoby rzeczą pożądaną, może nawet upragnioną. O nich pisać nie warto, bo przekonać się nie dadzą, ani wyleczyć ze swoich tradycyjnych przekonań, czy uprzedzeń.

Godniejszą zastanowienia rzeczą jest to, że i po stronie katolickiej są elementy nie pozbawione znaczenia i wpływu nawet wśród wyższego duchowieństwa, których zachowanie zdaje się dowodzić chęci zaostrowania i przyspieszenia konfliktu, któryby, ich zdaniem, musiał doprowadzić do upadku rządu czy regimenu i po przez walkę z Kościołem, jako środka do tryumfu partji, jako celu.

W tem tkwi niebezpieczeństwo. Wiemy bowiem i wierzymy, że Kościół jest niezwykłym, bynajmniej jednak nie katolicki jako tacy, i że to, co może po przez okres prześladowań stać się tryumfem całości, może bardzo dobrze równocześnie być klęską jednej jego części. Tej prawdy zdają się nie widzieć ci mali i ci więksi, którzy, miast łagodzić i pośredniczyć, widzą swe polewanie w tem, by na każdym kroku, tam także, gdzie interes Kościoła tego bynajmniej nie wymaga, zadrażniać, zohydzać, rozsiewać fałszywe pogłoski i agitować.

Dowodów tego twierdzenia tym razem przytaczać nie będziemy, nie dlatego bynajmniej, by nam brakło argumentów, ale dlatego, że musielibyśmy cytować przykre fakty i znane nazwiska, a celem naszym nie jest zaognianie nie antagonizmów. Pragniemy dziś dać tylko temat do zastanowienia na okres, który tradycyjnie jest okresem i świętem pogodzenia i pokoju.

Jamuz Radziwiłł.

Straszną katastrofą w bibliotece watykańskiej

ZAWALENIE SIĘ STROPU W SALI LEONINA.—WSPANIAŁE FRESKI W GRUZACH.—

ZNISZCZENIE 15 TYSIĘCY CENNYCH TOMÓW.—LICZNE OFIARY W LUDZIACH.

RZYM, (Pat.) We wtorek wieczorem wydarzyła się w bibliotece watykańskiej katastrofa, która spowodowała poważne uszkodzenie części biblioteki i poślagnęła za sobą ofiary w ludziach. Mianowicie w sali Leonina runął cały strop, grzebiąc kilka znajdujących się tam osób. Szczegóły katastrofy przedstawiała się następująco:

Od dłuższego czasu dokonywano przeróbek w czytelni, przeznaczonych dla uczonych, odbywających studia i badania w bibliotece watykańskiej. Czytelnia ta, założona przez papieża Leona XIII i od jego imienia zwana Leonina, znajdowała się pod salą Sykstusa V.

Wspaniała ta sala mieściła wiele ciekawych szaf, w których złożone były cenne dzieła, stanowiące zawiązek biblioteki watykańskiej. Sala, ozdobiona freskami uczelnio Giulio Romano, świetnie ilustrowała zdarzenia z epoki rządów Sykstusa V, mieściła ponadto szereg wspaniałych darów monarszych, składanych papieżom różnych epok, w postaci pięknych przedmio-

tów z porcelany serwskiej, malachitu, marmuru i t. p.

Pod wpływem dokonywanych przeróbek, jak przypuszczają niektórzy biegli, osłabiły podpory, podtrzymujące sufit sali Leonina, powodując obalenie całego stropu. Głuchy huk rozległ się w murach Watykanu. Jednocześnie z sali Leonina, przez niedawno wybite drzwi wewnętrzne, wydostał się zaczął gęsty pył. Cudem uniknięli śmierci trzej studujący w sali uczni i oraz dokonujący przeróbek robotnicy.

Nie udało się jednak wydosłać jednemu uzonemu oraz dwóm robotnikom, którzy ponieśli śmierć pod gruzami. Straty narazie trudno określić. Stwier-

dono uszkodzenie, względnie zupełne prawie zniszczenie starych druków i rękopisów, wśród nich kroniki św. Zofji.

Rozbita została również wielkiej artystycznej wartości waza z porcelany serwskiej, która służyła jako chrzcielnica syna Napoleona III księcia Napoleona Eugenjusza. Uległy również zniszczeniu masywne stoły, bogato zdobione, a jednocześnie rzeźbione dary monarchów dla papieża.

Przybliżone obliczenia wykazują uszkodzenie około 20 tysięcy tomów biblioteki. Papież, poinformowany o katastrofie, głęboko przejął się tą wadomością. Wezwana z Rzymu straż ogniowa pracuje dalej nad usu-

nięciem gruzów i zabezpieczeniem murów.

Katastrofa wywołała w Rzymie olbrzymie wrażenie. Na placu świętego Piotra do późnej nocy gromadziły się tłumy w oczekiwaniu rezultatów akcji ratunkowej. Z pod gruzów wydobyto wczoraj jedynie prof. Mario Vattasso. Dzisiaj rano wydobyto frupy dwóch robotników.

Dostęp do muzeów watykańskich został zamknięty. Dobrze znana zwiedzającym sala Sykstusa V została zupełnie zrujnowana.

RZYM, (Pat.) Komunikat wydany przez bibliotekę watykańską w sprawie katastrofy stwierdza, że ogółem zniszczeniu uległo około 15 tys. tomów, z których tylko część będzie mogła być zastąpiona przez istniejące dublikaty.

CITTA DEL VATICANO. PAT. — Z pod gruzów biblioteki watykańskiej wydobyto trup mężczyzny, który niewątpliwie w chwili katastrofy znajdował się w bibliotece. Straż ogniowa w dalszym ciągu prowadzi akcję ratowniczą.

Nowy dekret oszczędnościowy w Niemczech

BERLIN (PAT). Dekret oszczędnościowy, ogłoszony dziś, przewiduje szereg zarządzeń, mających na celu zbalansowanie preliminarza budżetowego na rok 1932...

Deficyt budżetowy, z roku 1930 — 51 wynosił będzie — według dotychczasowych obliczeń — 459 milionów marek. Zarządzenia oszczędnościowe w poszczególnych dziedzinach administracji państwowej mają przynieść sumę 100 milionów marek.

Redukcje płac i poborów urzędników państwowych oraz pracowników instytucji użyteczności publicznej mają dać oszczędności w kwocie 100 milionów marek. Z podwyżki podatku obrotowego rząd oczekuje 72 miliony oszczędności. Pozostały deficyt w sumie 177 milionów marek ma być pokryty z innych źródeł.

szedł do Belwederu. Na wybór Prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe Piłsudski wywierał nacisk grając w wywiadzie posłom ulicą jeśli nie pójda po linji jego życzeń. Od tego czasu trwa permanentna rewolucja. Dyktando i parlament to dziwny paradosz polskiego życia politycznego. Zdejmowano się wyciszyć ze ściepek ulicy przez rozpięcie nowych wyborów i wtedy przysłała ta niekomisarz bolszewicki sędzia Demant pkiwra ze zbrodnią za cenę ukłucia jego dawnych sprawek. Słynny z niedbalstwa i niemajomości prawa prekrusator Michałowski za cenę swej roli brzeskiej został ministrem Sprawiedliwości. I nigdy nie zapomni o owel czarnej kawy urządzonej w Belwederze dla Kęstka-Biernackiego. Proces ten przebiegał do historii. Pamię Sędziowi, prosząc się pamię ali że w oskarżonych macie swych sojuszników w obronie zagrożonych praw Rzeczypospolitej. Któż jeśli nie wy jesteście powołani do wal i o prawa, a już w starożytnych Atenach mówiono: Lud musi walczyć o prawo, jak o mury miasta.

Proces został przerwany na okres świąteczny. Następnie posiedzenie odbyło się w poniedziałek o godz. 9 rano, 30. Przemawiał był adw. Szumski i adwokat Ujazdowski.

Pan Prokurator twierdził, że zaraz po przewrocie Piłsudski powrócił na drogę normalną. Tak rozumować może tylko dziecin. Od roku 1926 wszystkie rządy powstały wyłącznie z woli Piłsudskiego. Każdy nowy premier zanim udawał się do Prezydenta

Moratorium Hoovera przyjęte przez Senat

WASZYNGTON. PAT. — Senat ratyfikował moratorium Hoovera 69 głosami przeciwko 12 i przyjął bez dyskusji poprawkę Izby Reprezentantów przeciwko rewizji lub zniesieniu długów wojennych.

WASZYNGTON. PAT. — W czasie nocnego posiedzenia senat odrzucił poprawkę do rezolucji, dotyczącej moratorium, domagającej się rewizji traktatu wersalskiego, jako części zawieszenia stąty długów. Obrady kongresu odroczone zostały do dnia 4 stycznia roku przyszłego.

Konferencja rzeczoznawców finansowych w Bazylei

BAZYLEA. PAT. — Komitet redakcyjny ustalił wczoraj rozdział tekstu sprawozdania, dotyczący przyczyn obecnej sytuacji w Niemczech. Delegat niemiecki usiłował umieścić w sprawozdaniu formułę, wyrażającą jego tezę o pierwszeństwie długów prywatnych i konieczności odłożenia wszystkich zagadnień reparacyjnych.

Delegat francuski sprzeciwił się temu energicznie i opuścił nawet salę posiedzeń, powrócił jednak wobec nalegań kolegów pod warunkiem, że otrzyma satysfakcję. Komitet przyjął odpowiedni tekst.

Dziś rano na początku posiedzenia delegat niemiecki oświadczył, że nie może przyłączyć się do przyjętego przez komitet redakcyjny tekstu. Delegat francuski, podtrzymywany przez

Rokowania gospodarcze niemiecko-sowieckie

BERLIN (PAT). Według doniesienia prasy — rokowania gospodarcze niemiecko-sowieckie, dotyczące się od szeregu tygodni w Berlinie, ukończono w dniu wczorajszym. Dziś ma być ogłoszony wspólny komunikat o wyniku rokowań.

W toku pertraktacji omawiano również kwestję wzmożenia przywozu zboża z Z.S.S.R. do Niemiec. Według pogłosek, kolportowanych przed kilkoma dniami na berlińskiej giełdzie, rząd niemiecki miał zamówić 100 do 200 ton żyta sowieckiego.

BERLIN. PAT. — Urzędowo komu-

nikują: Rokowania gospodarcze, prowadzone od 14 listopada przez ministrów gospodarki Rzeszy prof. Warmbolda z przewodniczącym delegacji ZSSR ambasadorem Chinczukim, których celem było stworzenie trwałej podstawy i możliwości dalszej rozbudowy wzajemnych stosunków gospodarczych, ukończone zostały 22 grudnia podpisaniem protokołu. Zawarte w tych protokołach uchwały podlegają zatwierdzeniu u stron obu rządów zainteresowanych służą w szczególności dla usunięcia trudności, powstałych w ostatnim czasie w wyniku światowego kryzysu gospodarczego na wszystkich rynkach zbytu, tem samem zaś w niemiecko-sowieckim obrocie towarowym. Przebieg negocjacji, które toczyły się przy udziale zainteresowanych kół gospodarczych obu stron, pozwala oczekiwać, że co wytyczny tych rokowań zostanie osiągnięty. Według informacji biura Conto niemieckie koła zainteresowane zapraszają pogłoskom, jakoby w ostatnie rokowaniach niemiecko-sowieckich roważany był plan wprowadzenia systemu clearingowego w obrocie towarowym między Niemcami a Rosją.

Sanacja Zakładu Kredytowego w Wiedniu

WIEDEN. PAT. — Rada Narodowa uchwaliła na dzisiejszym posiedzeniu w 2 i trzecim czytaniu wszystkie trzy projekty ustaw, dotyczące ustroju zakładu kredytowego.

Podczas dyskusji kanclerz Buresch oświadczył, że w sprawie obsadzenia stanowiska generalnego dyrektora Zakładu Kredytowego toczą się pomyślnie rokowania z pewnym fachowcem austriackim, zamieszkałym zagranicą.

Dalej oświadczył kanclerz, że londyński komitet wierzycieli skłonny jest do

przeprowadzania rokowań z rządem austriackim celem wyjaśnienia spraw materialnych Zakładu Kredytowego. Kanclerz zwrócił się z prośbą do komitetu londyńskiego o niezwłoczne wystąpienie delegacji do Wiednia.

W zakończeniu kanclerz stwierdził, że rząd gotów jest zająć się energicznie uregulowaniem wszystkich spraw związanych z Zakładem Kredytowym aby zażegnać niebezpieczeństwo, grożące gospodarce austriackiej.

WYBUCH AMUNICJI

przyczyną pożaru na zamku sztutgarskim

BERLIN. PAT. — Straszliwa katastrofa pożaru, której ofiarą padł zamek w Sztutgarcie, wywołała wśród ludności miejscowej komentarze i niepokojące pogłoski. Między innymi utrzymują, że w chwili wybuchu pożaru znajdował się w starym zamku większy skład amunicji. Wiadomościom tym usiłuje za przeczyć komunikat prezydium policji, wyjaśniający, że w skrypcie tem starego zamku była tylko amunicja przetrzacona dla ulokowania tam oddziałów

policji. Większa część tej amunicji oraz broni policja w chwili katastrofy miała jednak wynieść na bezpieczne miejsce.

BERLIN. PAT. — Ze Sztutgartu do nas, że we wczoraj wieczorem pożar objął również wieżę północno-zachodnią w starym zamku, która sponęła do szczytów. Niebezpieczeństwo przerwania się pożaru na skrzydło północne, w którym znajdują się słynne zbiory arcydzieł sztuki, udało się zażegnać.

Przywódcy Centrolewu przed Sądem

WARSZAWA. (tel. w. 23.XII—31). Ostatnie posiedzenie przedświąteczne w proesie Centrolewu poświęcono przemówieniu adw. Rudzińskiego, obrońcy Masika.

Adwokat w Rudzińskiemu w rozdziale materiału przypada kwestja kongresu krakowskiego. Ofiara mówił o początku i rozwoju władz, które chyba nie dyktowały strachem, następnie o przygotowaniu, jakie musieli czynić organizatorzy i wreszcie o czynności Masika, który „małtraktował” przy megalomaniach Ofiara atkuje następnie dwóch cenzorów: p. Kijpersa i cenzora krakowskiego p. Choczyńskiego. Omawiając rolę i stanowisko Masika w partji wykarzuje błąd aktu oskarżenia, przypisującego Masikowi należenie do CKW. Tu obrońca komentuje zeznania świadków: Stanirowskiego Hanke Ncwaka i Szymberskiego, twierdząc, że nie mają one znaczenia dla wodu. Pan Wolaniecki jest zaizolowanym świadkiem i mimo jego całych zasług zeżnania jego należy traktować z ostrożnością, g y on to informował o wykryciu składu w brni, a w istocie znaleziono s tył i jakas szablę ułancką; dziwne dzieło z bronią historyj. Pan Kewski nie robił rewizji w Seimie, bo nie wierzył, by broń istniała. Ze względów politycznych pan-broń nie robił rewizji, bądź nie wierzone, a jednak mówi się sądowi o znalezieniu największych składow broni. Zaimuje się następnie szeroko adwokat Rudziński zeznaniami referenta prasowego województwa krakowskiego p. Choczyńskiego i przyrównywa je do zeznania jego, szefa referenta Wydziału Bezpieczeństwa, p. Wola-

nieckiego. P. Choczyński opowiadał nam (u o jak mś rzadzie, który był już z góry przygotowany i w którym m mstrzem wojny miał zostać gen. Haller. Ja doskonale rozumiem wystąpienie p. Choczyńskiego. Ten młody człowiek z drugiego rku prawa, który cenzorował i kwestjonował a tykuły własnych profesorów, ten osławiony cenzor krakowski odznaczał się wyjątkową złośliwością i z paśja stosował szykany. Pamię Sędziowie przypomniał sobie skłóciwszy numer wigilijny „Naprodu”, który p. Choczyński skłonił kował, a który Sęd w parę godzin później zwołał od k nifskaty. Cmołwitszy zeznania p. dikom Olearczyka, adwokat Rudziński przechodzi do zeznań Dyrektora Dajdosza i rozprawia się z jego wywodami. Następnie adwokat Rudziński przechodzi do cmołwienia wieców, w których brał udział Masiek, a przedtem jeszcze zatrzymuje się dłużej nad działalnością Masika w roku 1923, o c m też wspomina akt oskarżenia.

Po przerwie zabiera głos w dalszym ciągu adwokat Rudziński.

Pan Prokurator twierdził, że zaraz po przewrocie Piłsudski powrócił na drogę normalną. Tak rozumować może tylko dziecin. Od roku 1926 wszystkie rządy powstały wyłącznie z woli Piłsudskiego. Każdy nowy premier zanim udawał się do Prezydenta

WSZYSTKIM CZYTELNIKOM I PRZYJACIOM PISMA NASZEGO REDAKCJA „SŁOWA” SKŁADA SERDECZNE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE

Pocztowa Kasa Oszczędności P.K.O.

Centrala — Warszawa, Jasna 9.

Oddziały: Poznań, Katowice, Kraków, Wilno, Łódź, Lwów.

PRZYJMUJE:

WKŁADY OSZCZĘDNOŚCIOWE
zwyczajne od 1 zł. począwszy, płatne na każde żądanie bez ograniczenia wysokości sumy.

WKŁADY OSZCZĘDNOŚCIOWE PREMIOWE

po 8 zł. miesięcznie z możliwością wygraną kwoty zł. 1000 w losowaniach, odbywających się co kwartał.

Wkłady oszczędnościowe w złotych w złocie.

UBEZPIECZENIA NA ŻYCIE
bez badania lekarskiego, przy składkach począwszy od 3 zł. miesięcznie z wypłatą ubezpieczonego kapitału w razie dożycia lub po śmierci

POSAGOWE

w razie śmierci ubezpieczonego spowodowanej wypadkiem PKO wypłata podwójną sumą ubezpieczenia.

P.K.O.

ZAPEWNI

1. pełne bezpieczeństwo wkładów
2. możliwość natychmiastowego wycofania złożonych pieniędzy.
3. solidne oprocentowanie
4. tajemnice wkładów oszczędnościowych.

GWARANTUJE

kwotą zł. około 500 milionów w gotówce i w lokatach opartych na złocie 29-ma olbrzymimi nieruchomościami.

KAPITAŁY ZŁOŻONE W PKO

1. zasilają wszystkie dziedziny życia gospodarczego.
2. przyczyniają się do zmniejszenia bezrobocia.
3. prowadzą do wzrostu ogólnego dobrobytu

WKŁADY OSZCZĘDNOŚCIOWE
są wolne od wszelkich danin i podatków można je składać i podejmować w każdym urzędzie pocztowym na terenie Rzeczypospolitej bez względu na miejsce wydania książeczki oszczędnościowej.

Wszelka korespondencja z P. K. O.

dotycząca obrotu oszczędnościowych jest bezpłatna, 750 tysięcy czynnych książeczek oszczędnościowych P.K.O. to najlepszy dowód zaufania społeczeństwa do największej instytucji oszczędnościowej w Polsce.

Ekscesy antyżydowskie przed Sądem

Znow proces na tle znanych zająć. Znow przed obliczem Sądu przystąpił do świadka wie, na czele z oskarżonym, uczniem gimnazjalnym Danielem Kułakowskim, pobitym, jak twierdzi, przy zbiegu ulic Rudnickiej i Niemieckiej przez kilku młodych żydów. Zajął on miejsce na ławie oskarżonych: Mejer Gulkowicz, Aron Bunewer i Chona Dimensztajn.

Przewód sądowy nie trwał długo. Oskarżeni nie przyznali się do winy twierdząc, że znaleźli się przypadkowo na ulicy. Jeden wracał z pracy, inni przechodzili ulicą spokojnie.

Sędziak oskarżenia przed, Swierk nie pa mied twarzą oskarżonych i nie może sta-

nawczo nie twierdzić. Zeznania samego oskarżonego są też niewiarygodne. W śledztwie pierwszostanowienie twierdził, że został uderzony w pierś i w plecy i, że jest studentem; na przewoźnie sądowym zeznania te nieco zmienił i nie pamiętał, o czym mówił w śledztwie.

Wniosek prokuratora oskarżającego, p. Achmatowicza, o zarządzenie przerwy celem sprowadzenia dodatkowego świadka post. Holowni został przez Sąd przyjęty jednak i ten świadek nie wniósł do sprawy dostatecznego materiału obciążającego.

Po krótkich przemówieniach stron i przerwie Sąd nie znajdując podstaw do skazania oskarżonych, wniósł wyrok uniewinniający. (t)

Byli posłowie na ławie oskarżonych

W dniu 12 stycznia r. b. Sąd Okręgowy w Wilnie rozpoznał sprawę Białoruskiego Klubu Poselskiego „Zmaganie”. Między całym szeregiem oskarżonych znaleźli się wówczas i byli posłowie, Gawryluk, Dworczanin, Kryczuk i Wołyniec.

Został wówczas ogłoszony wyrok, na mocy którego wszyscy czterej zostali skazani na osadzenie w więzieniu na lat 8.

Niezadowolony z wyroku, oskarżeni urządzili na sali sądowej demonstrację, wnosząc okrzyki: „Precz z sądem i rządami faszystowskimi”, „Wch żyje rewolucja socjalna” itp.

Dwoje dzieci przylgnę do kompletu

pierwszy rok nauczania
z francuskim
Wiwulskiego 15, m. 2.

Uporczywe zaparcie, katar jelit grubego, wzdęcia, osłabione funkcje żołądkowe, zastój ogólny, osłabione funkcje wątroby, bóle w bokach i pod żebrami przechodzą przy używaniu rano i wieczorem po szklance naturalnej wody gorzkiej Franciszka-Józefa.

Za tę demonstrację na sali skazano ich na 1 rok 6 m. domu poprawy.

Na skutek apelacji rozpoznano tę sprawę w dniu wczorajszym.

Na rozprawie oskarżony Kryczuk oświadczył, że dla niego jest najzupełniej obojętnym, jaki wyrok zapadnie w tej sprawie, gdyż wie, że nie Sąd burżuażysty go zwolni, lecz rewolucja socjalna.

Ponadto zaszedł jeszcze jeden bardzo ciekawy wypadek, oto oskarżony Wołyniec, tłumacząc przyczynę, która spowodowała demonstrację na sali sądowej, oświadczył, że uczestników oskarżenia nie spodziewali się wyroku uniewinniającego, to jednak nie spodziewali się, że zostaną skazani na najwyższy wyrok kary.

W tym miejscu przewodniczący zwrócił uwagę oskarżonego, że to jednak nie jest ten samem, co stawianie „pod ścianę” bardzo lubiany i stosowany przez jego współtowarzyszy ideowych w Rosji Sowieckiej sposób względem burżuazji. Na tę uwagę przewodniczącego oskarżony Wołyniec, oznajmił, że tam, tj. w ZSSR, jest otwarta dyktatura proletariacka, a nie ma rozmaitych przykrywek demokratycznych.

Do końca rozprawy oskarżeni zachowywali się nader wyzywająco.

Sąd wyrok pierwszej instancji zatwierdził.

Wszystkim Szanownym Swym Klientom życzenia świąteczne zasyła

Biurowe Reklamowe
STEFANA GRABOWSKIEGO
w Wilnie, ul. Garbarska 1, tel. 82.

Życzenia „Wesołych świąt” swym Szanownym Klientom składa firma

MICHAŁ GIRDA
Zamkowa 20, tel. 16-20

Akumulatory. Radjo. Elektrotechnika.

DOM BANKOWY M. RYNDZIŃSKI i K. KAUFMANS

Wilno, ul. Niemiecka 37, tel. 1-70 i 4-40.

Adres telegraf.: „RYNDKAUFBANK”.

Załatwia wszelkie czynności bankowe

RESTAURACJA

POLONJA

Składamy Szan. Gościom Życzenia Świąteczne i komunikujemy, że lokal nasz

We czwartek i piątek czynny nie będzie.

W sobotę od 10 wiecz. do 5 rano
Choinka dla dorosłych
od lat 20.

Program kabaretowy „Dancing” familijno towarzyski. Różne niespodzianki.

W niedzielę od 5 pp. do 9 wiecz. zwykły popołudniowy

„Dancing—Czarna Kawa”

Występy artystyczne, oraz rozlosowanie upominków dla wszystkich Pań (bez przebrania).

Wieczorem jak zwykle kabaret.

Przyjmujemy zamówienia na stoliki na „Noc Sylwestrową”, która zapowiada się wesoło i lepiej niż wszędzie.

MICKIEWICZA 11
Telef. 593.

Uznana w całej Polsce za najlepszą

HERBATA
z KOPERNIKIEM
Pierwszej Polskiej Hurtowni
Warszawskiego T-wa Handlu Herbatą
A. Długocki i W. Wierszowski Sp. Akc.
Zadec. wszędzie

Przedstawiciel St. Zatorski Wilno, ul. J. Jasińskiego Nr. 1.

Repertuar świąteczny TEATRÓW MIEJSKICH Z. A. S. P.

Pozwala zarówno starszym jak i dzieciom

WESOŁO

przepędzić czas

Przedstawienia wieczorowe:

(piątek 25. XII, sobota 26. XII, niedziela 27. XII).

NA POHULANCE — arcywesoła komedia „Logika pana Baltazara”

W LUTNI — pikantna komedia „Tak się zdobywa kobiety”

Popołudniówki

(o godz. 4-ej) po cenach znizonych

NA POHULANCE — sobota 26 — „Teatr wieczny wojny”

— niedziela 27. XII „Lalka” arcydzieło operetki.

W LUTNI — sobota 26 — „Pan Poseł i Julia”

— niedziela 27. XII. Poranek taneczny Sawinaj Dalskiej

Poranki (dla dzieci o godz. 12 ej) po cenach specjalnie znizonych!!!

W LUTNI w sobotę 26 i niedzielę 27. XII. — uroczą bajka „Kopciuszka”



Boże Narodzenie to święto słodczyg staropolska choinka była obwieszona la- kociami cukier krzepi

W WIRZE STOLICY

SEN O WIGILJI

Pa wieczoraszyn długim brzdą wziąłem dziś rano piórno. Zdrzemniałem się i miałem taki rozkoszny sen:

Otrzymuję list.

„Szanowny panie Karolu. Nasz 9-letni Włodek pisze codziennie — ćwiczenia, zadania, dyktanda; z każdą zapisaną stroniczką staje się mądrzejszy, a pan choć pisze i pisze — wręcz odwrotnie. Nieraz się dzwini z żoną; czyż tego Karola tylko głupstwa się brzmiają, czyż nigdy nie do rzeczy nie skłoni. Nic i nie. Trudno, zawsze lepiej banalności pisać, niż krasie. Ale o to co proponujemy: przyjeżdż pan do nas na święta. Będzie dobra wyzerka, różne rozrywki i rozmowa inteligentna (pod warunkiem, że pan będzie milczał). Zgo da? Czekać!”

W domu straszna radość: Karol wyjeżdża. Nie wiedzieliśmy jak mnie żegnać z ukontentowania.

Wysiadam na głuchej stacyjce, ładuję do sanek — wioł Mróz, śnieg skrzypi, biało, bało po polach. Taki spokój, tak jakos serce ko na duszy — ach, przecie ja nie jeździłem sankami od 1916 roku, ostatni raz wtedy, byłem na wsi — na Ukrainie.

Dworek wśród drzew. Małe okienka, niske pokoje, ciepło, miło, czysto, ładnie.

— Pan Karol? Dzień dobry!

— Servus

Gospodarz się trochę uspakaja. No, nie jest stem garbaty, trędowaty, brodaty, nawet nie mam kołtuna na głowie. Spodziewał się gorzej.

Pani domu jest umiarkują. Trochę bojaźliwie podana mi rękę — nie ugryzłem jej, nabrała odwagi. Najstarsza córka, panna Zula, jest uroczą paniemką, młodszy bracia rozkoszne chłopaki. Wujaszek mi powiedział serdecznie: naczelnik lekarz w Tworzech jest moim przyjacielem, w razie potrzeby — służę...

— Dziękuję, nie omieszkać skorzystać.

Prawdziwa wiejska wilja. Kilkaście osób siedzi nad sianiem. Co to potraw! Ile ryb, w tu postacie! Straciłem lik, ale nie apetyt, Panna Zula patrzyła jagnięciem oczy

na i uśmiechała się siodko:

— „Może jeszcze?” Jakże odmówić.

W salonie duża, jęcząca się choinka, pod nią prezenty. Pisk, krzyk, wesołe. Dostałem książeczkę zatyłowaną: „Jak pisać z sensu, oraz uniknąć banalności, prostactwa, nieudanych dowcipów i tępych określeń”. Zaraz zacząłem czytać, ale wezwano mnie do brida.

Pokazałem się z jaknajlepszej strony. Solidna licytacja, prawdziwa rozgrywka, umięjętny bluff, dokładne pamietanie kart. Obegniem partnerów ku wielkiemu zdumieniu starego sąsiada:

— Gra pan w brida jakby całkiem roztropny człowiek!

— Nigdyby się nie spodziewał, że z taką kartą będzie pan przy swoich, dorzucił drugi.

— Czy to naprawdę pan jest tym Karolem — powątpiewał trzeci.

Dla rozwiązania wątpliwości wdałem się w dwumuntowy monolog: wnet uwierzyli; pokiwali tylko głowami.

Jaka cudowna noc w cichym dworze. Stróż nocny co przeszedł pod moim oknem gwałtownie przeraźliwie — dałem mu złotówkę, poszedł spać.

Rano śniadanie. Stół znów zastawiony obficie. „Wybom pasztet” — mówię. „Sa-

ZAWODY STRZELECKIE

Z okazji obchodu 101 rocznicy Powstania Listopadowego oraz trzeciej rocznicy istnienia Zw. Podoficerów Rezerwy Okr. Wileńskiego zorganizowane zostały strzeleckie zawody z broni małokalibrowej.

W zawodach wzięło udział dziewięć zespołów reprezentujących różne stowarzyszenia. Dla braku miejsca ograniczamy się do podania suchych wyników uzyskanych zespołowo i indywidualnie.

Pierwsze miejsce zajął zespół K.S. 5 pp. Leg. uzyskując 829 pkt. (na 900 możliwych), drugie — Stow. Rezerwistów i b. W. 801 pkt. trzecie — Zw Strzelców 711 pkt.

Indywidualnie: chorąży 5 pp. Leg. W. Kucharski 280 pkt. (na 300 możliwych), 2-gie — sierżant 5 pp. Leg. Ign. Rucinski 276 pkt. 3-cie — Legunek W. (Strzelec). Poza konkursem chorąży 5 pp. Leg. S. Pokalski wybił 281 pkt. (t)

Ostrzeżenie

Wobec pojawienia się na rynku licznych naśladowców naszego preparatu Cresolan, ostrzegamy przed nabyciem różnego rodzaju fałszyfikatów i prosimy zwracać baczną uwagę na oryginalne opakowanie Cresolanu firmy R. Barcikowski S.A. w Poznaniu ze znakiem towarowym Erbe zarejestrowanym w G. D. S. Z. pod Nr. 1031.

Oryginalny Cresolan Barcikowski może być stosowany z bardzo dobrym wynikiem przy

wszelkich chorobach dróg oddechowych, gryzeli, kaszlu, dychawicy (Asthma), krztuśca (koklusz) itp.

Cresolan jako preparat zawierający Cresot, chroni organizm od zgnębienia działania niebezpiecznych drobnoustrojów jak również zarzeka gryzeli.

Cresolan Erbe jest preparatem krajowym i stosowany jest we wszystkich Kasach Chorych w Polsce.

Cresolan Erbe jest bardzo łagodny w smaku i nie wywołuje objawów podrażnienia ze strony żołądka.

Fabryka Chemiczno-Farmaceutyczna R. Barcikowski S. A. w Poznaniu.

ma go robiłam” odpowiada promieniąjąca pani. „To z jaskółek i komny, prawda? Wiedle recepty: pół na pół — jeden koń, jedna jaskółka”

Byliśmy w krowiarni, w chlewie, stajni, stodole, spachru. Okazało się, że odróżniam wiewprza od cielęcia, wiem co ogier, a co wół. W ogrodzie ledwo urządziłem dwunoga, wnet zawolałem: — „to kura, to indyk, zaś, strus, kaczor”. I zawsze dobrze zgadłem. Panna Zula była coraz miłsza, styślałem pitem, jak szepnęła do matki:

— On nie jest taki głupi, manusiu...

Wujaszek zaproponował szachy. Dalem mu trzy maty pod rząd, nie znał wcale gambitu króla i był wobec niego bezradny. Wiedział, Zbyszka i Fela, orznięm w ping-ponga do zera, w karambola zrobiłem serię z 32, w brida znowu wygrałem 100 punktów...

— Panie Karolu, rzekł mi dobry gospodarz — z pana jeszcze mogą być ludzie, rzuć pan to pisanie, potrzeba mi fornała przy koniach od Nowego Roku — wezmę pana.

Świętne. Chwyćmy za papier, postanowiliśmy napisać ostatni artykuł, już zatyłowałem: W wirze wsi.

— Ledwoś wstał znowu spsz cymbale! huknęła mi nad uchem. To siostrzyczka przywołuje mnie do rzeczywistości.

Wszystko sen. Nikt mnie nie czyta, nikt nie napisał, nigdzie nie pojade na święta.

Karol.

Dn. 2 stycznia 1932 r. odbędzie się w salonach Kasyna Garnizonowego (Mickiewicza 13). bal pod aktualną nazwą

„BAL KRYZYŚOWY”

urządzony staraniem Akademickich Kół Wilnian w Warszawie, Poznaniu i Lwowie

POCZĄTEK o GODZ. 22.

WSTĘP ZA ZAPROSZENIAMI.

Kto był mordercą?

Nie trudno było śledzić Cartona w Londynie. Z dworca pojechał wprost do hotelu i wyszedł do miasta dopiero następnego dnia. Szedłem za nim. Wszedł do biura wynajmu mieszkań i zwrócił się z prośbą o danie kilku adresów willi nie zajętych jeszcze na przedmieściu. Ja również zadałem to same pytanie. Nagle weszła Anita Grunberg — czyli Nadina, jak wolisz! Pewna siebie, beczelna i równie piękna, jak wtedy. Boże! Jakże ja ją nienawidziłem! a kobieta zlamala mi życie, zniszczyła człowieka, który był tysiąc razy więcej wart ode mnie. Gotów byłbym rzucić się na nią, schwycić za gardło, zadusić własnymi rękami... Krew rzuciła mi się do głowy... jeszcze chwila, a popełniłbym głupstwo nie do przebaczenia. Oprzytomniałem jednak na dźwięk jej głosu, ostry i rozkazujący, w którym słychać było zbyt wyraźnie cudzoziemski akcent:

— Willa Młynarska w Marlow? Willa sir Eustachego Pedlera? Dobrze,

może to będzie mi odpowiadało w każdym razie.

Dano jej pozwolenie obejrzenia willi i wyszła z biura, jak królowa. Na Cartona nawet nie spojrziała, ale jestem pewien, że spotkanie było umówione. Z tego, co udało mi się posłyszeć, wysnułem natychmiast wnioski. Nie wiedziałem, że sir Pedler był wtedy w Cannes, zdecydowałem więc, że w ten sposób Nadina chciała się z nim spotkać w pustej willi. A że wiadomo było, że w chwili dokonania kradzieży był on w Afryce Południowej, a ponieważ nie widziałem go nigdy jeszcze, byłem przekonany, że on jest właśnie owym tajemniczym „pułkownikiem”... Wyszedłem z niemi: Nadina weszła do Hyde-parku, a Carton skierował się ku stacji podziemnej kolejki. W nadziei, że nagle spotkanie ze mną rozwiąże mu znowu język, poszedłem za nim. Stał sam w końcu peronu. Nie było w pobliżu nikogo, prócz młodej kobiety. Podeszedłem do niego. Dalej wiesz, co się stało. Przeraziłony dyktatem człowieka, którego zostawił w Południowej Afryce, cofnął się i upadł na

sznyc. Zgubił go własne ichorństwo... Udając lekarza, przeskakałem z ręcznikiem jego kieszenie. Był tam pugila res z pieniędzmi, dwa listy, bez znaczenia, rolka filmów do aparatu, którą zgubiłem gdzieś i kartka z datą 22-go stycznia i nazwą „Kilmorden Castle”.

Spieszyłem, by mnie nie zapytano o dokumenty i biegnąc do schodach zgubiłem kastkę, ale na szczęście zapamiętałem cyfry... W sąsiedniej kawiarni wszedłem do garderoby i pozbyłem się brody i okularów. Nie chciałem, żeby mnie aresztowano, jako złodzieja kieszonkowego. Następnie wróciłem do Hyde-Parku. Nadina jadła śniadanie. Nie będę ci opowiadać szczegółów, jak dostałem się za nią do Marlow. Gdy weszła, zachechałem kilka minut i wszedłem, łomacząc odzwierne, że towarzyszę młodej damie.

Zamilk. Nastąpiła chwila ciszy.

— Anno, czy uwierzysz mi? Przyśięgam, że mówię prawdę! Wszedłem za nią z zamiarem zabicia jej, ale znalazłem już Nadinę zamordowaną. Leżała na podłodze w sypialni, na pierwszym piętrze. Mój Boże, nie potrafię

wyobrazić sobie, co też ja przeżyłem. Przecież nie minęło więcej, jak trzy minuty od chwili, gdy ona przestąpiła próg domu, a dom był pusty!

Zrozumiałem momentalnie, w jak strasznej znalazłem się sytuacji. Człowiek, którego Nadina chciała szantażować, zabił ją i odrzucał znalezisko, na kogo mógł zrzucać swą winę. Po raz drugi już zostałem ofiarą „pułkownika”... Nie wiem, jak udało mi się wydostać stamtąd. Wiedziałem, że zbrodnia zostanie wkrótce wykryta, a mój rysopis rozestany będzie po całym kraju. W ciągu kilku dni nie odważyłem się wyjść z hotelu. Wreszcie los uśmiechnął się do mnie. Niechcący podszuchałem na ulicy rozmowę dwóch starszych panów. Jednym z nich był sir E. Pedler. Postanowiłem zostać jego sekretarzem. Wątpięm w to, by miał być owym „pułkownikiem”. Willa jego została wybrana przypadkowo, albo ze względu na jakieś nieznanne mi jeszcze przyczyny, czy cele.

— Czy wiesz, że Pedgett był w tym czasie w Marlow? — przerwałem. — W takim razie rzecz jest jasna.

Myślałem, że był z sir Pedlerem w Cannes.

Miał być we Florencji, ale nie był tam. Nie mogę dowiedzieć, że był w Marlow, ale jestem tego zupełnie pewna.

— Nie podejrzewałem Podgettą aż do tej nocy, kiedy usiłował wrzucić panią do wody. Przypaść, że nie spotkałem dotąd lepszego aktora.

— O, tak.

— To dlatego wybrali Willę Pedlera, że Pedgett umiał dostać się do niej niezauważnie. Teraz rozumiem, dlaczego on się nie sprzeciwił temu, żeby został sekretarzem Pedlera. Nie chciał odkrywać kart. Nadina nie przyniosła diamentów. Carton schował je pewnie gdzieś na „Kilmorden Castle”, a „pułkownik” myślał, że ja wiem, gdzie one są. Dopóki nie dostanie ich w swe ręce, będzie narażony na ciągłe niebezpieczeństwo, dlatego to tak bardzo chodzi mu o to, żeby zdobyć je za wszelką cenę. Ale gdzie ten diabeł Carton mógł je ukryć? Nie mam pojęcia! Boję się teraz, że sprawa moja przepadła ostatecznie.

— Nie, nie przepadła, — zaprzeczy-

łam żywo. — Skończyłeś opowiadać, a teraz na mnie kolej.

ROZDZIAŁ XXVII.

NAPAD NA WYSPE.

Harris wysłuchał ze skupioną uwagą tego wszystkiego, co już opowiadał czytelnikom poprzednio. Najwięcej wzruszyła go wiadomość, że diamenty znajdują się w moich, a raczej, w Klary rękach. Czyż mógł przypuszczać coś podobnego? Dopiero po wysłuchaniu jego historii, zrozumiałam, jak sprytnie skonstruowany był plan Nadiny. Nigdy „pułkownik” nie mógłby się domyślić, że jego diamenty oddane do stały na przechowanie służącemu okrętowemu! Teraz jasnym było, że Harris będzie mógł znieść hańbę ze swego imienia. Ale pozostawała druga sprawa równie ważna: przecież to on był „człowiekiem w brązowym ubraniu”, a do póki nie wykryliśmy prawdziwego mordercy, Harris nie mógł się pokazać wśród ludzi.

Naprawdę łamał mi serce głowę nad tem, jak mógł być tajemniczym „pułkownikiem”. Czyżby rzeczywiście Pedgett?



O P Ł A T E K

— Oplatek, — biały, jasny oplatek leży na stole w oczekiwaniu uroczystej chwili...

W radosny i serdeczny wieczór wigilijny czyjaś ręka podniesie go, przełamanie i poda innej...

Z cichym trzaskiem będzie się łamał biały, jasny oplatek, będzie się rozdrabniał, będzie się zmniejszał i mnożył jednocześnie, topniejąc w ustach, jak cichy szepc w sercu o wielkiej, radosnej nowinie...

Chrystus się narodził!

Ktoś będzie mówił...

Czy będą to tylko słowa zakłamanego grzeczności i nieudolnego żartu; czy też wśród dźwięcznych, lecz pustych słów zatrząsnie nagle słowo szczere, z duszy płynące?...

Czy może przy stole wigilijnym, tak, jak opłatkiem, przełamać się ludzkie słowo głębokiem a radosnem, — jasnem słowem prawdy i miłości?...

A może też — nie będzie wcale słów — tylko błysk w oczach, westchnienie urwane i uścisk dłoni, jak przysięga?...

W onieśmiałonych, cichych ustach będzie topniał biały oplatek, łącząc duże i serca radosną, tęczową nowiną:

Chrystus się narodził!

Oplatek — biały, jasny oplatek leży na stole w oczekiwaniu uroczystej chwili...

Dwa wizerunki Najświętszej Panny Marii są wytkoczone na nim: Częstochowski i Ostrobramski.

Regina Poloniae ora pro nobis...

Królowa Korony Polskiej i Wielkiej Księżna Litewska...

Największy, najświętszy symbol jedności dwu bratnich narodów, połączonych niegdyś na wspólną dolę i niedolę.

Krzyż złączył dusze dwu narodów, miecz złączył dłonie...

Herb został podzielony na dwa pola: w jednym do lotu zrywał się ptak królewski, biały, w drugim — Pogoń do orlich lotów się rwała...

A w okresie miłki największej i nadziei najzuchwalszej wprowadzono

do herbu trzecie pole, w którym stanął Archanioł skrzydlaty, dwa miecze w ręku trzymający...

I drgały wówczas dusze, napięte, jak cięciwa łuku, a blade usta szeptały modlitwy święte, a... błuźnierce...

Ktoś daleki a bliski krzyknął wówczas:

Wo imię Otca i Syna —

To nasza modlitwa:

Jako Trojca, tak jedyna

Polszcza, Ruś i Łytwa!...

Jedna w Boha koronowa

Modlitwa za namy:

Z Częstochowy, Począjawa

I z nad Ostroji Bramy!...

Dziś niema już tych słów i uczuć...

Ziemia, która się Litwą od wieków nazywała, stała się nagle „kresami”; — nie jednym nawet kresem brutalnie zmiżdżonych marzeń, lecz mnogimi kresami czegoś...

Ludzie, którzy zdiada-pradziada Litwinów imię z dumą nosili, to swoje imię rodzinne Zmudzinom oddali. Ale nie tak, jak im samym ongiś w Horodzie dar herbów złożono, aby braterstwo znakiem wiadomym przypieczętować... Imię swe na poniewierkę i na pośmiewisko oddali...

Aż się wzdrygnęły dusze wiadców którzy pod berłem swem królewskim mieli — „jedno nierozdzielne i nieróżne ciało”...

Zachwiała się w posadach najstarsza świątynia wileńska, będąca pamiętką i symbolem świętego czynu Jadwigi i woli natchnionej Jagielly, — rozstąpiły się stare, wilgotne podziemia:

Król polski, Wielki Książę litewski, Aleksander, wnuk Jagielly, szeroko otwartymi oczodołami ukoronowanej czaszki z niemem pytaniem spojrział w oczy zbłądłych ze wzruszenia ludzi...

Coś chce powiedzieć Król, który

przeżył tragedię największego w naszej przeszłości oddalenia się Litwy od Polski; coś chce powiedzieć spoczywające obok niego dwie Królowe, dujemy, nieświadomi nieprzebranych skarbów ducha tej ziemi, zasłепieni jej biedą materialną.

Na ziemi, granicami pokawalko-

wanej...

Poco są słowa skargi i smutku w

święty wieczór wigilijny?...

Rozjaśnmy serca jasnością opłatka, wszystkich nas łączącego; biel jego wchłoniemy w nasze serca, aby się stały czyste, grzechem nienawiści nieska-

lane...

Wzięmy oplatek w drżące dłonie i

wzniesmy go wysoko...

Wyżej, jeszcze wyżej!...

Jeszcze, jeszcze wyżej! Tak wyso-

ko, aby został zauważony przez... mi-

ljon (Jezu Chryste! — milion!) Pola-

ków, jęczących poza tak bliskimi i

tak potwornie brutalnymi granicami!...

Tsss... Cicho...

Kolendę ktoś śpiewa:

— Bóg się rodzi, moc truchleje...

W. Charkiewicz.

Siostra Jahielnicka

(Pieśniarka szpitala V Dywizji W. P. na Syberji)

Wkrótce nasza buda stała się schroniskiem. Roilo od ludzi. Co noc ktoś się chował. Nieustannie rewizje, dziwnym zbiegiem okoliczności — zawsze nas omijały. Nie przypuszczano widocznie, by ta dziura w śródmieściu na żydowskiej fabryce — mogła ukrywać zbiegów polskiej dywizji...

W domu bywałam krótko. Po szpitalu wychodziłam na miasto. Epidemia tyfusu szalała. Nie było dnia, by ktoś z ukrywających się — nie padał ofiarą. Lekarska pomoc mogła być tylko ściśle konspiracyjną. Nędza potworna. W suternach, chałupach, po norach ohydnych, na barfogach cuchnących — nieprzytomni w gorączce — jeszcze przed miesiącem kipiący młodzieńcy i życiem — gaśli bezimienni, nieznani nasi żołnierze.

Wracałam o zmroku wyczerpana, zmarznięta. Mijałam szkółkę polską.

— Tu mieszka Jahielnicka — przeniknęło. Znajdę — odpocznę.

Drzwi niezamknięte. Pusty korytarz. Idę przez długi szereg sal — widać sunie się zgroza i rozpacz. Na łóżkach, na ziemi, nieprzytomni leżą tyfusowi — pokotem. Z tu kupy gratów wysuwa się nagle drobna postać ośmiolatek dziewczynki.

— Siostra Jahielnicka w ostatniej sali — dźwięczy głosik dziewczęcy. — U nas wszyscy chorzy — przyszli, zamieszkał i zachorowali. Mój tatuś umarł — a mama nie poznaje — gorączka duża. Dr. Pęski odwiedza. To jego rejon.

— A któż was dogląda, karmi? — Ja — odrzekła poważnie. — Ja jestem zdrowa.

I widziałam, jak to dziecko nieporadne, słabiutkie dźwigało wodę i drze wo, paliło w piecu, gotowało strawę, pielęgnowało chorych. Niczyje, krzątało się rażno i żwawo — dojrzałe, wielkie w ogromie otaczającego nieszczęścia.

Pod ścianą — łóżko Jahielnickiej. Poznała uśmiechem.

„Szumią drzewa, szumią — to w parku — za domem. Słyszysz Pani, — psy szczekają... Ktoś jedzie gościnnie. To my jedziemy, jedziemy do Kraju.

Oczy wielkie, przerażone, wpatrzona — chwytła rękę, kurczowo zaciska.

— Pani wie... u nas na Litwie tak drzewa szumią i psy szczekają...

Łzy płyną duże, jasne, łzy po bladej twarzy, wychudzonej.

W kłębach mroźnego paru, buchających z drzwi otwartych stanęła bezkształtna, zasnieżona sylwetka. Oczekiwanie zawisło w powietrzu. Z pod czapki futrzanej błysnęło jak ostrze spojrzenie szybkie.

— Od pułkownika Rumszy do rotmistrza Próchnickiego — padło wśród ciszy — krótko, wyraźnie. Wyprostowana postać żołnierska. Mileczenie załęgło. Nie rozumiano — słuch, mylił, rzeczywistość przeczyła.

— Od pułkownika Rumszy do rotmistrza Próchnickiego — powtórzył. Błady zerwał się Próchnicki — zniknęli za firanką — po chwili minie proszą.

Na jedwabiu drukowany, w podszewce zaszyty, — krótki list do Próchnickiego.

— Dojechalili! Są na Wschodzie. Wracają do Kraju. Radzą uciekać na Zachód. Rodzinom i jeńcom nadeślą pieniądze — i nie więcej.

A nam grał hejnał radości wyzwolenia i znowu czuliśmy łączność, nierozdzielność i nieskończoność — Tam tego.

Patrzyłam z podziwem na Czajkowskiego — że chciał powrócić do tego piekła, już u celu prawie. Niepozorny, brzydki, o prostej chłopiejskiej postaci, rósł, olbrzymiał, stał się czemś dziwnym i wielkim.

Codziennie odwiedzałam Jahielnicką. Czula się lepiej. W czystej białej, nakarmiona, uczesana, umyta — leżała jasna i cicha, tylko z ust nie scho dziło, dręczące: kapitulacja, dywizja, beznadzieja i rozpacz zwątpienia.

— I nagle postanowienie zapadło. Jej — powiedzieć muszę.

...W gorączce może zdradzić — odruchowo przemknęło.

Zmrok szary zapadł, wicher szumił za oknem, jak chorych, słowa bezładne. Nachyliłam się nisko i cicho szeptałam, nakazując milczenie, o Czajkowskim, odzyskanej łączności, o nadziei powrotu, pomocy, niezniszczalności Sprawy... Radości blaskiem goreją oczy zapadłe. Promienna twarz ostra, wychudła.

— Wrócimy i my wrócimy — szep tała w dal zapatrzoną.

Dziwnie powoli jak mgła opada coś z myśli i oczu — rozjaśnia, wykształtuje. Rozumiem już wszystko. Chorowałam na tyfus — byłam nieprzytomna — to wiem, — a jednak wokoło jest inaczej, niż im się wydaje.



SYN CZŁOWIECZY

PISZĄ O TOBIE KSIĄŻKI, MĄDRE KSIĄŻKI, CHRYSTE, PRAGNĄ ROZWIĄZAĆ JAKIEŚ PROBLEMY ZAWIŁE, I RAZ JESZCZE OŚWIEILIĆ ŚMIAŁO OCZYWISTE, I ODPOWIEDZIEĆ JESZCZE: BYŁO, CZY NIE BYŁO?

I SPRZEDAJĄ TE KSIĄŻKI UCZONE INTRATNIE, A INNI PISZĄ DO NICH BARDZO MĄDRE WSTĘPY: OTO PRAWDA NA WIERZCHU, KTÓRA BYŁA NA DNI, A OTO WSZYSTKIE KŁAMSTWA, PODARTE NA STRZĘPY.

BIEDNY SYNU CZŁOWIECZY, WZIĘTY W KURATELĘ PRZEZ TŁUMY ZMARŁYCHWSTALYCH DZIS FARYZEUSZÓW! JESTEŚ „MOTYWEM AKCJI”. O, JAKŻE TO WIELE! „SZKICEM BELETYSTYCZNYM” PRZEMAWIASZ DO USZU.

STAJESZ SIĘ OTO MODNY, O SYNU CZŁOWIECZY! CIEMNY RUMIENIEC GNIEWU TAKIE SŁOWO BUDZI, LECZ TY, KTÓREGO JĘZYK NIGDY NIE ZŁORZECZYŁ ACH, MIMO WSZYSTKO MIŁUJ — NAS, NIEGODNYCH LUDZI.

Jerzy Wyszomirski

Jest mi znacznie lepiej — tylko przerażająco nudno. Apatyczna, wygasta. I nagle jak ostrze przeszywa pierwsza myśl świadoma.

„Lipy szumią za domem...”

Siostra Jahielnicka! — krzyczę przeraźliwie i głośno — gdzie jest? co z nią się stało?

Mileczenie... Rozumiem.

— W parę tygodni po Pani chorobie — mówi Pęski, komplikacje, płuca, nerki nie wytrzymała. Panią wolała, o powrocie, o Litwie mówiła, o jakiejś tajemnicy, nadziei...

I raz jeszcze stanęła przede mną w kilka lat później, gdy w Wilnie — w tym dużym zacisznym salonie — czar-

na postać wysmukła rzuciła się ku mnie.

— Czy Pani coś wie o dziecku mojem, przecie ona żyje, nieprawdaż?

I widziałam te same oczy jasne —

z nadzieją i trwogą na ustach moich

I znów słyszałam szepc tragiczny o szumie lip parkowych — z ust sinych, spieczonych gorączką.

Nie widziałam różnych lat, zmarszczonej twarzy, wykrzywionej cierpieniem.

Obca Cię ziemia przykryła. Nie szumią Tobie lipy parkowe, nie szumią na Litwie — tylko wicher wśród tajgi na nieznanej mogile nienawistny i wrogi.

Janina Hurynowiczówna

Choinka szkolna

Gdy się mówi o „radosnej szkole”, jest w ten zwykle trochę kłamstwa. Szkoła nie może być stale radosna. Nie można sobie wyobrazić radości, płynącej wolnym i złotym strumieniem przez wszystkie godziny dnia. Trzeba byłoby wtedy odwrócić oczy od złości, aby dać im odpocząć chociażby na szaryźnie. Szkoła powinna tylko mieć w sobie zdolność silnego odczuwania radości w pewnych momentach; silnego, a ze względu na młody element, rozpryskającego jej mury, i czyste. Czasami jednostajność i mętne, na lane ołowiem smutku szyby kwaszą nastroje szkolne. Ale niechże coś się zdarzy innego, troszeczkę odmiennego, a wnet na szkolnym korytarzu zatrząsną niewidzialne skrzydła, uderzając o wszystkie serca i uczniów i nauczycieli. Najciekawsze nastroje w szkole są zwykle świętami. Już jakiś czas przedtem uczniowie robią się sentymentalni na ten temat, szczególnie ci z klas młodszych.

Aż przychodzi chwila najbardziej uroczysta. Ostatni dzień przed świętami. Gwar szkolny osiąga najwyższy stopień napięcia. Ale brak złośliwych figliw. Strumień młodzieńczej radości, szalejącej po korytarzach, ma nurt niezamagony i tryska srebrną falą czystego śmiechu na fraszliwie twarze niektórych nauczycieli. I oni uśmiechnąć się muszą.

Dzwonek! Klasy napełniają się dziwnie prędko i huczą niby ule. Zaraz się pójdzie na górę, po kamiennych schodach, ale nie do gabinetów, lecz do sali, gdzie Opieka Rodzicielska gotuje niespodziankę. Oho! Brawo, klasa trzeć! Przygotowała w tajemnicy choinkę, przyozdobiła ją niezgorzej i niesie w triumfie przed sobą. Będzie tam wprawdzie inna, ale i ta się przyda. Sala rozjaśniona bielą stołów, przykrytych obrusami. Opłatki. Przez drzwi ciemnym węzłem dwuszeru wlewa się cizba uczniów. Przychodzą wszyscy. Katolicy i nie-katolicy. Wszystko to są dzieci szkolne. Te same radosne fale przelewają w ch sercach. Wzrok spoczywa na twarzach, błyszczących roześmianymi oczyma, z jednakową czułością. Nawet twarzyczka mego syna nie wydaje mi się bardziej drogą, niż te inne, w ogromnie słodkiej fali, zalewającej serce. Oto śmieszne baki z pierwszej układki calują mię w rękę. Tego się nie robi, ale że i syna widzę wśród nich, więc czyż mogę się oprzeć nieprzemaganej chęci uściskania tych główek?

Trochę zamętu przy stołach:

— Te! uważaj! ukradłeś mi cukierek.

— Gadanie! zjadł, a teraz buja!

— Proszę pani! jemu buchnęła cała ty woreczek.

— Ależ nie! Ja mówiłem „na niby”.

— Spryciarz! chciał dostać dwa razy.

— Niech pani jeszcze ze mną się przełamie.

— A z nim to pani już trzeci raz.

Nauczyciele przechodzą między stolami jacyś odmienni, święteccy. Hamowana czułość drży im wśród rżes. Wy, którzy patrzeć umiecie, spojrzcie tylko na te twarze. Nie! szkoła to jednak wielka rzecz.

Oto pizemawia dyrektor. Podchodzi mu składać życzenia delegaci Bratniej Pomocy. A mówiłam, że i dyrektor nie wytrzyma, choć ma takie groźne wąsy. Podnosi malca i całuje. Radość, radość, radość!... Nie można już jej w sercu pomieścić! Wybuch na ustach słodką pieśnią, złotym fajerwerkem szczęścia, niby te ognie na choince.

— W żłobie leży, któż pobieży!...

Chłopcy śpiewają z zapalen. Oto Rysiek nie zdążył przełknąć piernika i onal nie doszło do katastrofy przy „Kolendować Małemu”!

Ale Rasek palnął go w plecy rżesieje i już!... Uratował mu życie. A że Rysiek nie okazał zbytniej wdzięczności i nastąpiła niepotrzebna wymiana kusańców, więc starsi koledzy wdał się w tę sprawę i po słowach „Jemu wdzięcznie przygrywajcie, jako Panu naszemu” jest już wszystko w porządku.

Radość nie potrafi ograniczyć się na tej jednej pieśni — poszuka innych i będzie się zachłystywać jak ptak na gałęzi na chwałę Panu.

A potem zbiegną malcy na dół i poszukają „działki”. Tak się w ich języku nazywa cierpliwy woźny o długich nogach i nieustrudzonych rękach.

Będą mu wtykali w ręce pierniki i cukierki, żeby też zjadł. Wiedzą, że należy mu się coś od nich, że na więcej zasłużył, po tylekroć wyszukując rozlatanych w powietrzu czapek, zgubionych śniadań, pantofli i drugiego buta, który zawsze... niewiadomo gdzie...

O, szkoła, szkoła! Jesteś jak życie, jak młode życie. Czasami zaspiesz się i przyczajasz jak ono, a czasami zatańczysz, zatupiesz, zaśpiewasz i rozbiśniesz od podłogi do sufitu radosną bożą choinką. Eugenia Masiejewska.



Wspomnienia Rosjanki z dni minionych...

Karety pałacowe sunęły długim sznurem jedna za drugą, wzdłuż Newskiego prospektu. Siedziałyśmy w nich, zażenowane tą niezwykłą przejażdżką, chowając ręce pod białymi fartuszkami i, usiłując z pod opuszczonych rzęs, nie odwracając głowy, przyglądać się tłumom przechodniów, do których dziś jeszcze miałyśmy się przyłączyć.

Po uroczystym nabożeństwie w Soborze Kazańskim rozjechałyśmy się do swych Instytutów, gdzie włożyłyśmy po raz pierwszy wizytowe suknie z trenami, by jechać w nich z wizytami do protektorów i opiekunów naszego Instytutu: do hrabiego Protasowa-Bachmiejewa, gen. Arapowa, gen. Omewa i innych.

Wszędzie czekały nas kwiaty, cukierki i szczerze życzenia świąt w życiu.

Hrabia Protasow, osiemdziesięcioletni, szczerzy i wysoki starzec, przyjął nas w swym ponurym pałacu na Newskim prospekcie, patrząc na nas mętnymi, napół martwymi oczyma, po raz ostatni opowiedział nam o swych podróżach zagranicę z Jego Cesarską Mością Mikołajem I, o swych zachwytach dla Paryżanek, które przed wieloma laty umiały czarować swą niezwykłą pięknoscą (jak twierdził) i bogactwem. Był on adiutantem przy parze cesarskiej i lubił opowiadać o życiu przy Dworze i ludziach, których tam spotykał. Cesarza Mikołaja II nie lubił, przedewszystkiem dlatego, że był starym przyjacielem Marii Teodorówny, a przysięgi był wielbielcem przepychu dworskiego i uroczystości, czego przy Mikołaju II brakło przy dworze rosyjskim. Hrabia mówił do nas zawsze po francusku i wątpię, czy znął dobrze język rosyjski.

Po dokonaniu ceremonii wizyt, koleżanki moje powyjeżdżały na letniska i do majatków swych, ja zaś, jedyną z całej paczki maturzystek, miałam pozostać w Petersburgu, gdyż postanowiłam wstąpić na Kursy Bestuzewskie i musiałam rozpocząć starania o przyjęcie.

DLACZEGO WSTĄPIŁAM NA KURSY I DLACZEGO ZOSTAŁAM PRZYJĘTA

Żądza wiedzy nie była pobudką, która spowodowała we mnie tą decyzję. Powód istotny był natury romantycznej. Nasz nauczyciel literatury K. G. Nedler, dla którego w sercu mem kryłam wiele sentymentu, spotkał mnie pewnego razu na korytarzu i wyraził nadzieję, że po ukończeniu Instytutu będę się dalej kształciła na kursach. W okresie egzaminów, Nedler umarł na galopującą suchotę, a sentyment mój wybuchł gwałtownym płonieniem spóźnionej miłości. Uważałam, że obowiązkiem moim jest wykonać jego ostatnią wolę, postanowiłam więc nieodwołalnie wstąpić na Kursy.

Upierzono mnie, że ze świadectwem Śmiolnego Aleksandrowskiego Instytutu, bez protekcji, nie było mowy o przedstawieniu się dyrektoriowi Bestuzewskich Kursów. Był nim świeżo mianowany Rajew. Protekcji żadnej nie miałam i postanowiłam własnymi siłami dostać się do świątyni wiedzy. Zda wało mi się, że przedsięwzięcie nader trudne dzieło, lecz, jak się okazało, było to aż nadto łatwe!

Rajew nie tylko przyjął mnie uprzejmie, natychmiast po tem, jak zostałam mu zameldowana, ale nawet ośmielił mnie i zachęcić.

Tęgi, rumiany i świeży siedział w fotelu przyglądając mi się swymi słodkimi oczyma. Wypytywał mnie o listy

tu, który ukończyłam, o moich rodzicach, w końcu, zadowolony z odpowiedzi, powiedział, że zostanie przyjęta na poczet słuchaczek kursów od dzisiejszego dnia, gdyż pewien jest, że nie będę się zajmowała polityką. Zapewniłam go gorąco, że się nie myli, gdyż rzeczywiście nawet samo wyrażenie „polityka” nie było dla mnie w owych czasach bardzo zrozumiałym, a wyobrażenie „kursistki” zajętej polityką łączyło się w moim umyśle z obrazem kobiety ostrzyżonej, w czerwonej chustce i z papierosem w zębach. Był to typ pozabawiony tak dalece wszelkiej poezji, że podobieństwo do niego nie umieszczało mi się bynajmniej, byłam więc zupełnie szczerą odrzucając wszelką możliwość zajęcia się przezemnie polityką.

PIERWSZE ROZCZAROWANIA

Wesoła i szczęśliwa pobięłam do kancelarii po legitymację kursów. Najtrudniejsze zadanie zostało dokonane, należało wybrać fakultet. Zdawało mi się, że wszystkie fakultety, prócz matematycznego są dla mnie odpowiednie, ale mój optymistyczny nastrój znikł od razu, gdy stanęłam wobec poważnej przeszkody: potrzebna była znajomość łaciny. Łaciny nie miałam w Instytucie, więc wcale, nie miałam o niej najmniejszego pojęcia. Ale i w tem poczyniono mi wielkie ulgi: mogłam wybierać dowolny fakultet, a łacinę zdać później. Uspokojona zapisałam się na fakultet prawni. Następnego dnia, wesoła i szczęśliwa, biegłam już przez Newski z teką, wypchaną rozmaitemi prawniczymi książkami, w kierunku „Bazyłówki”.

Ale na kursach od razu straciłam kontenans. Moc „kursistek” spacerowała po salach i korytarzach, skądś dobiegała, gdzie są nasze audytorje? Nie miałam o tem pojęcia!

Smutna i bezradna, chodziłam wzdłuż korytarzy, nie wiedząc, co mam robić. Gdzieś słychać było dzwonek, potok studentek płynął ku salom, a ja stałam nie wiedząc zupełnie, co począć?

Na szczęście, takich, jak ja, było sporo. Zebraliśmy się w poszczególne grupy i wreszcie, całym tłumem, włączyłyśmy się pod ręce, ruszyłyśmy na poszukiwanie audytorium.

Znalazłyśmy je w końcu. Profesor Petrażycki miał wykład z encyklopedji prawa. Cicho, jak w świątyni, usiadłyśmy na okrągłych ławkach i otworzyłyśmy nowe, pachnące jeszcze klejem zeszyty. Postanowiłyśmy notować wykład i uczyć się do egzaminów z nota tek. Niestety, nowinki, świeżo zastrzone ołówki, zawisły bezradnie nad białymi kartkami.

Nie rozumiałyśmy literalnie ani słowa z całego wykładu prof. Petrażyckiego. Być może, że któraś z nowych słuchaczek, z tych, które ukończyły gimnazjum, pojęły sens ogólny wykładu, ale ja, po naszym pocziwaniu, starym Instytucie, nie rozumiałam nic a nic.

Rozczarowana, w usposobieniu nader pesymistycznym, szłam przez Newski do domu, myśląc o tem, że nie mam żadnych szans pozostania na kursach. Ale w domu uspokoiłam się trochę. Znajomi studenci zapewniali mnie, że pierwsze wykłady będą niezrozumiałe zupełnie, ale gdy oswoję się z terminologią, nawet Petrażycki nie będzie zbyt trudny. Aby przekonać mnie, że kursy nie są niczem strasznym, namówiono mnie pójść na Uniwersytet na wykład prof. Tarłé o francuskiej rewolucji.

W Instytucie nie znałyśmy wcale

słowa „Rewolucja”. Jako podręcznik historii służył nam Howajskij, a nawet i w nim nasz nauczyciel P. D. Kuszen porobił mnóstwo skrótów. Uczytysyśmy się prawie na pamięć o Joannie D'Arc, o doskonałych królach Francji, o wielkich cesarzach rosyjskich, a wszystko to, co chociaż częściowo nie zgadzało się z nastrojem, panującym wśród naszych władz instytyckich, było raz na zawsze wygnane, a my ze swej strony nie okazywałyśmy specjalnego zapału do zdobywania wiedzy, poza ramami tego, co w nas wpajał nasi pedagodzy.

Nic więc dziwnego, że wykłady prof. Tarłé w duszy my wywoływały burzę. Zdawało mi się, że weszłam do nowego, nieznanego mi świata i, jak zahyponyżowana, stałam w olbrzymiej sali Uniwersytetu, nie zdając sobie sprawy ani z czasu, ani ze zmęczenia. A nie byłam odosobniona. Tysiące słuchaczy stały ramie w ramie, jak w świątyni, w olbrzymiej sali, nie ruszając się i słuchając z wytężoną uwagą słów ulubionego profesora.

Po wykładzie szło się do kuchni studentek, na cienką zupkę i źle usmażone kotlety, ale i tam panował nadal ten nastrój, wywołany słowami profesora i nie miało się ochoty wracać do domu, nie chciało się wracać do atmosfery spokoju i „pańskości”, podczas gdy tu panowało podniecenie i pragnienie zniszczenia tego spokoju, zrzućcia niepotrzebnej „pańskości”.

ZIARNA „REWOLUCYJNOŚCI”

Ogarnęła mnie tak, jak i inne dziewczyny, fala protestu, fala burzących się rosyjskich żywiołów i coinać się nie było już sposobu.

Można było już iść tylko naprzód i ja właśnie to uczyniałam. Najpierw wykłady prof. Tarłé, potem zebrania, mityngi, demonstracje, całe to burzliwe życie, a raczej chaotyczny jakiś sen, którym żyła w 1905 roku nasza rosyjska młodzież uniwersytecka.

Te płonienne mowy wiecowe, które usłyszałam poraz pierwszy, te konspiracyjne zebrania, gdzieś na „Piaszkach” lub na „Szkłanym” w ciemnym, małym sklepie materiałów piśmiennych, stopy broszur, ksiąg, odezw, rozdawanych i sprzedawanych z pod póły i, wreszcie, młodzieńcze marzenia o bohaterstwie, poświęceniu, a nawet śmierci dla dobra narodu... To wszystko wypełniało nam życie, nie pozostawiając miejsca na inne myśli i nastroje.

Zaledwie rozpoczęły się wykłady, a już na Kursach i w Uniwersytecie szumiało, jak w ule. W korytarzach na stołach stały starsze słuchaczki Kursów i pęcały nas, nowe „kursistki”. Musiałyśmy rozpocząć naukę od politycznego abecadła, lecz byłymy nader pilnymi uczennicami.

Ignorując wykłady naszych profesorów, wchłaniałyśmy chciwie każde słowo rewolucyjnie nastrojonych koleżanek studiowałyśmy programy partji, nie żałowałyśmy ostatnich groszy na broszury rewolucyjne i czytałyśmy, czytałyśmy, aby czemprędzej móc przetrząsnąć i zlać się z ogólnym potokiem rewolucji.

Pamiętam naszego przewodnika wśród labiryntów politycznych warstw i ugrupowań, była nim kursistka Pawłowa.

Okrągła, biała - różowa dziewczyna, w pince-nez i czerwonej bluzce, była bardzo odważna, chociaż nie dosyć doświadczoną socjal-rewolucjonistką.

Nie potrzebowałyśmy lepszego agitatora. Należało wywołać nastrój, a ona umiała to doskonale. Słowa: „Cie-

nięczy ludu”, „katy”, „przeklęta burżuazja”, łatwo i sugestywnie brzmiały w jej różowych usteczkach, i wystarczyło, by zebrać dokoła niej łacących koleżanek, tłoczących się dokoła stołu, a nasze młode serca płonęły kolejno ogniem nienawiści dla „katów”, to „znów płonieniem miłości dla „uciśnionego ludu”.

Socjal-demokratki były spokojniejsze. Nie agitowały na korytarzach, lecz poważnie i dumnie siedziały w salach przy socjal-demokratycznych stolikach, sprzedając książki Marxa, Kautskiego i Plechanowa. I tylko na dużych wiecach występowała wysoka, brzydka kurstka, wygłaszając długie przemówienia, zwalczając wzbudzonych S-Rów.

Były też ugrupowania i zwolenniczki prawniczych ugrupowań. Nazywały się one „Akademistkami” i występowały stałe przeciw strajkom. Ale była to zła koma garstka, stojąca zwykle na chodniku, rzucając zrzadka repliki z góry.

Nie tylko na Kursach urządzano wiece. Całymi tłumami chodziliśmy do Instytutu Górno i Technologicznego, rzucając nienawistne spojrzenia na spotykanych po drodze policjantów. Na tych wiecach występowali głównie studenci, ale czasem występowali na katedrę starzy działacze rewolucyjni, samem swem ukazaniem się pobudzając zebra nych do głośnych owacy.

Ulubieństwem młodzieży był w tych czasach Krylenko. Mały, o twarzy szerokiej występował stale na wszystkich wiecach. Był on dobrym mówcą i dyskutować z nim było trudno. Oponentów jego studenci i „kursistki” socjal-rewolucyjni byli o wiele słabsi. Krylenko zwyciężał ich logiką i talentem oratorskim. Socjal-rewolucyjniści denuncjowali się i spotykali mówcę wzrokiem i tupaniem, swoim zaś leaderem nie szczędzili oklasków. Mimo przewagi Krylenki stronnicy partji S-Rów przeważali wśród studentów, a na naszych kursach stanowili olbrzymią większość.

Sądzę, że powodem było to, iż program S-Rów był zrozumialszy dla młodej, anizelby młoda doktryna Marxa.

To wszystko wciągało nas w wir i trzeba było wciąż śpieszyć się — nie było czasu do stracenia.

Jakąś nieśmiałość podeszłam do Pawłowej, prosząc, by zapisała mnie do partji. Pawłowa była zakłopotana. Widocznie sama nie była jeszcze członkiem partji, ale obiecała mi dopomóc. Miałam dziś jeszcze przyjść do niej wieczorem, aby poznać się z wybitnymi S-Rew.

Wieczorem nie szłam, a leciałam do niej!

Wdrapawszy się na szóste piętro domu na „Bazyłowiec”, w pokoju Pawłowej znalazłam liczne grono gości. Studenci i „kursistki” siedzieli na łóżku, na parapecie okna i głośno i wesoło śmiali się. Oburzyła mnie ta wesołość.

Jako! Wybitni działacze rewolucyjni — i śmiech? Cicho usiadłam na parapecie i zapaliłam podane mi papierosa. Natychmiast zakręciło mi się w głowie, bo nie byłam przyzwyczajona do dymu, musiałam mocno chwycić się za ramię okienne, aby nie spaść. Nie wypadło z rąk papierosa: wszyscy bez wyjątku palili, nie chciałam więc pokazać, że jestem jeszcze niedoświadczoną młodą „kursistką”.

Rozmowy były dalekie od tematów politycznych, a i towarzyska Pawłowa była jakaś inna.

Na kursach była to bojowa rewolucjonistka, tutaj — koczka kokietująca

ca i oczarowująca jakichś studentów. Chciałam już wyjść, gdy Pawłowa wzięła mnie za rękę i wprowadziła do sąsiedniego pokoju. Przeszedł tam za nami student wysoki, czarny, zeszpecony przez ospę. Powiedział mi, że mam nazajutrz o 4-ej stawić się w mieszkaniu towarzyski Drenteln i powiedzieć jej, że przysłał mnie „Paweł”. Podjękowałam i pośpieszyłam do domu.

Panna Drenteln była córką generała, przysięła mnie w gabinecie ojca i, siedząc na kanapie, pod portretem cesarza, powiedziała mi: „Towarzysko, nie zapisujcie się do partji, jest to truciźna trująca duszę. Czasem pragnę sama gorąco wystąpić z patrii, ale ja nie mogę tego zrobić. Jestem zatruta tą atmosferą i wiem, że gdyby rodzice moi dowiedzieli się o tem, nie przeżyliby tego. A jednak, nie mogę się wycofać”.

Słuchałam nieuważnie jej słów. Tak bardzo pragnęłam uczyć się koła, które miało oś Rosji przetrząsnąć. Stanowczo wyraziłam swą wolę.

Te same prawie słowa usłyszałam potem od stróża naszego domu, który znał mnie od urodzenia i jeden z pierwszych dowiedział się o tem, że dałam się wciągnąć do polityki: „Co panienka robi? Czyż nie widzi panienka, że to się robi na zgładę Rosji? Czy myśli panienka, że będzie komuś lepiej po tem? Komu? Panience? Nie! Kiedy panienka swoje zrobi, oni panienkę wypędzą z Rosji. Ludowi? Ależ lud wie lepiej od panienki, czego mu potrzeba. Proszę przestać, panienko, nie dziś, to jutro będzie rewizja, panienkę aresztują, sąd skaże na Syberję!”

Ale ja śmiałam się ze słów starego Stefana i żartowałam, grożąc, że on pierwszy na Sybir pojedzie.

Ale w duszy miałam niepokój. Szczególnie w nocy, przy każdym szeleście lub stuknięciu zamierało mi serce, przed oczyma stawał obraz policyj, rewizji, więzień. Na Kursach, wśród stu detmów nie czuło się strachu, ale w domu, w samotności, nadsłuchiwałam z przerażeniem oczekując aresztowania.

STRAJKI I DEMONSTRACJE

A Petersburg tymczasem gotował się: raz poraz wybuchały strajki i demonstracje.

Pierwsza demonstracja, w której brałam udział odbyła się na placu Znamieńskim. Tysiączne tłumy stały na placu, śpiewając Marsylankę i Warszawiankę. Z jakimś nerwowym pośpiechem, mówcy wykrzykiwali kilka zdań, poczem ginęli w tłumie. Potem zaczęto podawać sobie z rąk do rąk zwinięty czerwony sztandar, a kiedy doszedł już do centrum tłumy, wyrzucono go na chwilę w górę. Zdawaćby się mogło, że był to sygnał. Zagrzmiły składy wystrzwały i, jak na komendę, ze wszystkich bramy, otaczających plac, wyskoczyli kozacy i policja. Rozpoczęła się ucieczka, wszyscy biegli, cisnąc się do ścian, chroniąc się do Północnego i Bałobinskiego hotelów, skracając w zaułki. Krzyki, wystrzały i jakieś paralizujące całe ciało przerażenie, skuliły moją wolę i stałam na placu, bez radia, bliska placu, patrząc za uciekającymi studentami. Jakis student wziął mnie pod rękę i poprowadził w kierunku dworca Mikołajewskiego. Drżałam cała i nie mogłam zdobyć się na jedno słowo.

Kiedy, po kilku minutach wyszliśmy z dworca, na placu nie było już nikogo. Leżały na bruku pogubione czapki i damskie kapelusze, a kilku policjan-

tów o groźnym wyglądzie spacerowało wzdłuż i wszerz.

Druga demonstracja miała miejsce przed Dumą Państwową. Było to wiosną i byliśmy wszyscy w nastrojach wiosennych. Słyszmy po osiem osób w szeregu po ulicy Taurydzkiej ku Dumie Państwowej, śpiewając: „My żerujemy pali” („Paliśmy ofiarę”). Przed Dumą stał kordon żołnierzy. Młodzi, jak my, weseli zdawali się spoglądać na nas przyjaźnie. Cisnęliśmy się naprzód, usiłując przekonać żołnierzy, by nie strzelali do tłumy. Żołnierze siedzieli na koniach, jak wykuci z marmuru i tylko spoglądali na młodego oficera, stojącego na skrzydle szeregu. Coraz odważniej wślizgiśmy między konie, usiłując dostać się do gmachu. Na głę officer wydał rozkaz i jednocześnie prawie rozległa się salwa karabinowa w powietrzu, a potem zaczęto strzelać do tłumy. Uciekaliśmy ulicą Taurydzką, popychając się i trapiąc, ale w tej chwili wyskoczyli ze wszystkich bram kozacy z nahażkami i rozpoczęła się bijałka.

Przycisnęłam się do muru, ale kozak, depcząc studentów podskoczył co mnie i, patrząc na mnie dziwnymi oczyma, machnął nahażką. Wpiał się w mnie błagalnym spojrzeniem, a on zmienił kierunek i uderzył w twarz, stojącego koło mnie studenta.

Ale zaledwie kozak minął nas, wpadliśmy tłumem do tramwaju konnego na rogu Litejnego prospektu i, czując się bezpiecznie, wybuchliśmy głośniejszymi przekleśtaniami pod adresem kozaków i policyj. Rozwścieczony officer harcował konno dokoła naszego tramwaju, ale nie mógł nas dosięgnąć. Przerażony napaścią konduktor śmignął białym po koniach i pojechał przez Litejny, odprowadzeni wściekłymi spojrzeniami oficera.

Rodzina moja zaczęła się domyślać, że należę do ruchu rewolucyjnego i była bardzo zaniepokojona. Pokój mój był literalnie przeładowany konspiracyjną literaturą i nie było sposobu schować tego wszystkiego. Na stoliku nocnym postawiłam fotografię zaduszonego studenta - rewolucjonisty. Twarz jego była straszna, ale fotografia ta stała u wielu innych słuchaczek Kursów, ja nie chciałam pozostawać w tyle. Trzeba było przyzwyczaić się do wszystkich okropności i rozwijać w sobie uczucie odwagi. Rozbierając się, odwracałam zawsze fotografię, ale po wtórnie zmieniona z bólu twarz wypływała w ciemności przed memi oczyma i robiło mi się jeszcze straszniej.

HEKTOGRAF I RODZINA, SPIESZĄCA NA RATUNEK

Pozatem przechowywał się w moim pokoju hektograf, na którym miałam mnożyć ilość proklamacyj.

Hektograf ten był powodem tragicznego zająca.

Podczas kilkudniowej nieobecności mojej w Petersburgu, rodzice moi zostali na miejscu na dokonanie rewizji w moim pokoju i znaleźli pośród stosu broszur i proklamacyj, hektograf. Zdecydowali jednak, że to może być jedynie jakiś materiał wybuchowy i wpadli w rozpacz. Książki nie trudno było zniszczyć, ale co zrobić z „dynamitem”? Z wielkimi ostrożnościami zamieszono ów „materiał wybuchowy” do Newy i tam utopiono go, ku ogólnej radości całej rodziny.

Ja zaś, po powrocie, postawiona zostałam wobec ultimatum: albo dom, albo polityka. Zawałam się.

(Dokończenie na stronie 5-ej)

Gdy w ogrodzie botanicznym zakwitną bzy...

Zwiedzając stare Wilno, nieomieszkać czytelniku dotrzeć, po przez wysłizgane aleje parków miejskich, do uroczego zakątka, położonego u stóp góry Trzykrzyskiej, a noszącego miano ogrodu botanicznego.

Poza kortami tenisowymi, lub nieestetyczną estradą koncertową, — nic tu godniejszego uwagi, nie ujrzyysz.

Jednak, gdybyś chciał uchylić tajemniczego rąbka przeszłości, chociażby z okresu przedwojennego, — ujrzałbyś wiele ciekawych obrazów, świadczących, iż ogród ten, szczególnie w sercach starszego pokolenia pozostawił dziwne blaski i wspomnienia.

Urocz ten zakątek, ubrany białymi i akcjami, nabierał w porze letniej jakiegoś egzotycznego czaru.

W godzinach wieczornych różnobarwne światła lśniły wśród perłowych wódnotrójów, dotalające zaś tony dyskretnie muzyki, ukrytej w gąszczu zadrzewień — potęgowały nastrój. Wśród tak pięknego obramowania, wznosiły się tu dawniej dwa duże budynki drewniane, w stylu wybitnie rosyjskim. Jeden — przeznaczony na teatr letni, drugi zaś — na nocny kabaret.

O zmierzchu — ogród botaniczny nabierał życia...

Owczesna publiczność wileńska żądała rozrywek, mogła w zupełności zadowolić tu swe pragnienia, czy pozostając w ogrodzie na koncercie, czy przyglądając się różnorodnym produkcjom artystycznym na otwartej scenie, czy też podążając do teatru, który go-

ścił dobrą operetkę rosyjską.

A gdy nów zapadła i widniała się skończyły, wówczas ożywiały się kabaret nocny, rozbrzmiewające wesołymi piosenkami szantanowych.

Rojno i tłumnie zazwyczaj było w tym przybytku lekkiej muzy. Na estradzie — zespół nadobnych tancerów, w powiewnych sztach, — wypiełniał poszczególne numery programu.

Za chwilę jednak znajdą się one wśród publiczności, przy stolikach, w łóżach i gabietach, aby uprzyjemnić pobyt gościom aż do rana. A gdy opary wodne, unoszące się nad Wileńką, zabarwią się promieniami wschodzącego słońca, wówczas zabawa i przenosi się do lokali podmiejskich w Pośpieszcu, lub na Zwierzynicy, dokąd podąża w różnorodnych humorach całe towarzyswo. Wśród stałych bywalców zakładu widzieliśmy wyższych urzędników rosyjskich, a pozątem liczny poczet naszych ziemian.

Natura polska szeroka, jak się bawic, to się bawic! Szampan, wyszukane potrawy, zabawa w otoczeniu pięknych tancerów, — trwały nieraz dni kilka zrzędu.

To też nie dziwne, że w strumieniach tego szampana, niejeden utopił swój majątek rodowy.

I teraz jeszcze spotykam starszych panów, sterych losom, którzy swą ruinę materialną zawdzięczać mogą zbyt częstym i kosztownym zabawom w kabarecie nocnym.

Właścicielem tych rozrywkowych lokali był I. Szuman, kucharz z zawo-

du, który dzięki wrodzonemu sprytwi, zdołał w stosunkowo krótkim czasie, zyskać popularność wielką, nawet odznaczenia rządowe, oraz zdobyć pokątną fortunę.

Zakłady rozrywkowe Szumana, dzięki umiejętniej organizacji i reklamie, znane były nie tylko w Rosji, lecz nawet i zagranicą, ówczesny rząd rosyjski bardzo popierał wszelkie poczynania, cą-



żące do systematycznej rusyfikacji Wilna, Szuman zaś wielce przyczynił się do zamierzenia rządowego, to też niejednokrotnie korzystał z różnorodnych ułateń i prerogatyw. Był mile widzianym wśród społeczeństwa rosyjskiego, a niejednokrotnie wybie any

nawet do Komitetów, opiekujących się instytucjami filantropijnymi.

Wszystko się jednak kończyło... Światowa wojna starła z oblicza ziemi ten wesoły przybytek. Niemcy w ciągu tygodnia znieśli wszelkie zabudowania drewniane na terenie ogrodu Botanicznego, nie wskutek jednak zasad moralności, lecz poprostu, by zażegnać chwilowo głód opałow, dając się

sceny po raz pierwszy słowo polskie.

Było to w roku 1905-tym. Władysław hr. Tyszkiewicz, przy współudziale Antoniego Alexandrowicza, uzyskał po długich staraniach, zezwolenie władz rosyjskich, na urządzenie trzech widowisk polskich, na rzecz Pogotowia Ratunkowego.

Na te przedstawienia zaproszeni zostali wybitni artyści Teatru „Rozmaitości”. Przybyli również z Warszawy przedstawiciele prasy z Władysławem Grabiskim na czele. Bilety, sprzedawane w księgarni W. Makowskiego (twarz I — kosztował 10 r. 10 gr.), rozchwytywane były dosłownie w ciągu kilku godzin.

Repertuar widowisk był przeważnie składany.

Pierwsze przedstawienie odbyło się we środę 22 czerwca 1905 r. Wypiełniony był trzy utwory: „Czyja wina” H. Siemkiewicza, „Mąż i żona” A. Fredry i „O Józie” M. Bałuckiego.

Na drugim przedstawieniu, we czwartek, 23-go czerwca ukazały się dwie komedje: „Pan Jowialski” A. Fredry, oraz „Marcowy kawaler” J. Pińskiego.

Trzecie i ostatnie przedstawienie, na które odebrane zostały: „Bzy kwitną” i fragmenty z „Mazepą” J. Słowackiego, odbyło się w piątek, 24-go czerwca 1905 r.

Wśród zespołu artystów, widzimy nazwiska późniejszych potentatów sceny polskiej: Marcello, Lidowa, Lutomska, Micichina, Niewiarowska, Trapszo-Chodowiecka, Żółkowska, Frenkiel, Leszczyński B., Ładnowski, Nowicki, Paliński, Rapacki, Szczawiński i Wolski.

Gdyśmy się zliżali do teatru, spot-

kał nas przy wejściu znany wówczas w Wilnie przystaw Śnitko. Witając nas, dodał: „Nu wot i dożdżał!”

Gdyśmy weszli do teatru wypemionego doborową publicznością, tu i owdzie słyszeliśmy zapytania: „Czy rzeczywiście oni pozwolą grać po polsku?” „czy to możliwe, że usłyszymy ze sceny słowo polskie?” Nie wierzone.

Dopiero gdy się podniosła kurtyna, widownia cała jakby zamarta, skamieniała.

Z zapałem oddechem słuchano każdego słowa. Cisza niezamącona, trwała podczas całego widowiska.

A gdy się przedstawienie skończyło, niemiłkające, frenetyczne oklaski były wyrazem wielkiej wdzięczności za tę uciechę duchową, jaką zgoliwiali Wilnu wibitni artyści warszawscy.

Scena była poprostu zasypana kwiatami. Wśród kwiecica, raz po raz ukazywali się artyści, dzieląc się za zgoltowane im ika gorące przyjęcie.

Młodzież gimnazjalna, zgromadzona przy wejściu do gerderów artystów, porwała na ręce wychodzące z teatru artystki i z entuzjastycznymi okrzykami niiosa przez cały ogród.

Nie obeszło się, naturalnie, bez niecierpliwych nieporozumień. W zapale pochwycono na ręce również garderbiane teatralne, w przekonaniu, że są to artystki warszawskie.

Wracaliśmy późno w nocy, pełni wrażeń artystycznych, owiani dziwnym czaem polegi słowa polskiego. Te trzy dni pierwszych widowisk polskich, trzy dni rozkoszowania się dźwiękami moleszczyński B., Ładnowski, Nowicki, Paliński, Rapacki, Szczawiński i Wolski w dziejach Teatru Polskiego w Wilnie.

WSPOMNIENIA ROSJANKI Z DNI MINIONYCH... O PUSTYCH WAGONACH I PUSTEJ EUROPIE Michał Faraday

(Początek na stronie 4-ej)

Nie mogłam wyrwać się z nastroju i atmosfery, w którą dałam się wciągnąć, tle bałam się opuścić dom. Gdzie miałam iść? Po siedmiu latach spędzonych w Zamkniętej Instytucji, przyzwyczajona do wygód, przywiązana do rodziny, wahałam się i nie mogłam znaleźć wyjścia.

A w domu, widząc moje wahanie, postanowiono wybrać stary i wypróbowany sposób działania.

Na radzie rodzinnej zdecydowano rozłączyć się z narzeczonym i, jak najprędzej wydać mnie za mąż, aby wytrzeć z mojej głowy świeże jeszcze i nieżarżone nastroje.

Zaczęto od szukania wszelakiego rodzaju rozrywek dla mnie, wywołania mnie na bale, do teatrów i wyznaczenia dnia przyjęcia.

Bale i teatry udawały się im dobrze. Opera podobała mi się bardzo, a tańce jeszcze bardziej! Ale z przyjęciami było gorzej.

Rodzice zapraszali swoich znajomych, a ja swoich. Byli to ludzie zupełnie sobie obcy, nie mający nic wspólnego ze sobą. A i moje koleżanki i koledzy byli niezbyt zharmonizowani: nade, wystrojone panienki - instytucji i skromne słuchaczki kursów, w bluzkach, ze słuchanymi paskami i nieodłącznym papierosem. Staralam się polaczyć to, co się polaczyć nie dawało.

I oto w dniu moich urodzin stała się katastrofa. Moje przyjaciółki instytucji przyjechały ze swoimi braćmi oficerami Siemionowskiego pułku, który właśnie brał udział w tłumieniu buntów chłopskich. Na ich widok, studenci padli we wskiełość i z trudnością udało mi się zażegnać bójkę.

Na wiosnę wywieziono mnie na letnisko do Zabanowa nad Newą, a moje liczne ciotki zaczęły się kłopotać i sprowadzać mi coraz to nowego nieznanego konkurenta. Gdzie one ich wyjadły, Bóg to wie, ale dosyć, że przyjeżdżały ich „konkurencji” zwykle na obiad, a ja musiałam odegrywać rolę uprzejmej gospodyni, częstować ich, zabawić, a wieczorem przywracać do domu. Dopóki byliśmy w domu, wszystko szło jak należy; zabawiali ich przyjemną rozmową, a w przyszłą gospodynią. Ale z chwilą gdy wsiadaliśmy do łódki — obie strony rozczarowywały się. Natychmiast zaczynałam mówić o „ludzie”, rewolucji, a moi solidni adoratorzy wpadali w rozpacz. Oni szukali solidnej, rozumnej żony, a nie szalonej rewolucjonistki, z którą mogła zaszkodzić ich karierze.

Wieczorem odejdzali statkiem i więcej nie pokazywali się.

Ale wciąż przyjeżdżali nowi i ciotki poprawiając moje loki, z łezkami szeptały, żebym porzuciła swoje głupstwo z głowy i wychodziła za mąż. Ale byłam niepoprawna i żadne namowy nie działały. I oto, pewnego razu jedna z moich krewnych, dowiedziawszy się o zmierznię, jakie padło z mego powodu na całą rodzinę, przywiozła do mnie „w konkury” młodego lejtenta, księcia L. W jakim celu tak gwałtownie poszukiwał żony, tego nie wiem, wiem tylko, że mimo moich rewolucyjnych przemówień, pozostał u nas i, nie dbając o nic, zaprzagnął polaczyć się z mną dogonnym węzłem małżeńskim. Rodzina moja tryumfowała, a ja byłam w rozpacz. Byłam zajęta w tym czasie pewnym studentem prawa i książką był zupełnie nie na niej! Ale był to człowiek uparty i nie odstępował ani na krok ode mnie. Całe to swatanie i wieczne sceny domowe, dokuczały mi wreszcie tak dalece, że porzuciłam dom i, bez groza w kieszeni, wyjechałam do przyjaciółki do Złobina.

W Złobinie było cicho i spokojnie. Małe, brudne miasteczko nie usposobiło do rozwoju rewolucyjnych idei. Tam, w bogobojnym Złobinie, przychodzili najzagrzejalsi bojownicy rewolucji i cicho stąpali po błocie, z zakaszanymi nad trzewnikami spodniami. Z nudów zaczęłam brać lekcje angielskiego. Znalazłam się nauczyciel. Był nim Joffe, zięć aptekarza w Złobinie. Z zapalem tłumaczył mi Szekspira i punktualnie odbierał ode mnie i od mojej koleżanki rubla za lekcję. O Rewolucji ani słowa! Bałam się „isprawnika”, który przyjeżdżał do nas z wizytą, a Joffe był szczęśliwym małżonkiem i nie myślał o polityce.

A jednak Złobin był kolebką wielu rewolucjonistów. Mieszkał tam w tym czasie Misza Zalman, który zajmuje obecnie wysokie stanowisko w S. S. R. Był on wówczas młodym studentem, zakochanym beznadziejnie w żonie „pristawa”.

Złobin jest rodzinnym miastem Głowna, również byłym dygnitarza sowieckiego, wówczas biednego i jakby wiecznieszpraszzonego i nieszczęśliwego żyda.

W Złobinie pozostałam do początku sierpnia i wyjechałam do Petersburga, by rozpocząć „studenckie” życie.

AGITACJA NA WSI

Zato tego roku w Petersburgu było ponuro. Jezdnie były porokopywane, wszędzie wiadra z wapnem, na każdym kroku drabiny i przegrody, wszystko to tworzyło niezbyt wesoły obraz. Wszyscy prawie znajomi poróżniali

li się na letniska, a ci, którzy pozostali w mieście, zadawali się spacerami w Leśnym, lub Taurydzkim ogrodzie. Nie mogłam pokazywać się u rodziców. Ciotki syczały i odsłakiwały ode mnie, jak od zadumionej. Zaczęły mnie identyfikować z Marią Spiridonową i myślały, że nie dziś, to jutro przeze mnie będą uwięzione, albo wysłane na Sybir.

Było mi smutno. Pieniądzy nie miałam, a do życia studenckiego nie byłam przyzwyczajona. Na szczęście miałam trochę drobniaków z biżuterii, które, idąc za radą przyjaciółki, zaniosłam do lombardu. Było mi dziwnie niezręcznie i przykro stać tak przed okienkiem i czekać na pieniądze, ale nie było znajomych i wyszłam wielce zadowolona z lombardu, z paczką banknotów w torebce. Ale nie miałam ochoty siedzieć tak z założonymi rękami, ucieczyłam się więc bardzo, kiedy zaproszono na wieś, dla „rozpowszechniania agitacyjnej literatury”.

Na Piaskach, w sklepiku materiałów piśmiennych, dano mi solidną walizkę z literaturą, spis wsi, porozumienie wawczych haseł i wyprawiono do Ładozkiego powiatu.

Odważnie wpakowałam walizkę do dorozki i pojechałam na dworzec. Trzeba było dojechać do st. Wołchow, tam przejechać na statek do st. Gorodiszcz, a stamtąd do dwóch wskazanych mi wsi, gdzie mieszkali rozprowadzani już chłopci.

Na dworcu dzwigałam sama walizkę, bojąc się jej powierzyć tragarzowi. Walizka była ciężka i z trudnością domościłam ją do wagonu, wciągnęłam do przedziału drugiej klasy, ale już podnieść na półkę nie mogłam. Nie chciałam wywać konduktora. Już w dorozce przysiadłam się każdemu policjantowi, kurcząc się pod ich surowym spojrzeniem, tutaj, w wagonie, drżałam z niepokoju.

Postawiłam walizkę na podłodze i podeszłam do okna. Ogromny żandarm stał pod oknem i spoglądał we wszystkie strony sweni wszystko widzącymi oczyma. Już chciałam się cofnąć, gdy grupa kilku osób przykuła moją uwagę: koło wagonu stał książę Golicyn, tegi, rumiany generał, którego znałam z Krasnego Siola, a obok kilku oficerów gwardji — widocznie jego adiutantów.

Ale nie stary książę był powodem gwałtownego napięcia mej uwagi: zwrócony profilem do mnie, stał przy nim oficer w białej czapce z czerwioną opaską i coś mówił wesoło do księcia. Takiej piękności nie widziałam jeszcze. Chyba w marzeniach „instytutki” mogło istnieć coś podobnego. I oto żywe wcielenie tych marzeń pensjonarskich stało tu przedemną, rzucając od czasu do czasu ukośne spojrzenia w kierunku okna.

Świdrowałam go oczyma, zapominając o niebezpieczeństwie. Trzeci dźwięk przyszedł do mej uszy: „zaczekaj, niech cię przywitam”. To był oficer w białej czapce z czerwioną opaską i coś mówił wesoło do księcia. Takiej piękności nie widziałam jeszcze. Chyba w marzeniach „instytutki” mogło istnieć coś podobnego. I oto żywe wcielenie tych marzeń pensjonarskich stało tu przedemną, rzucając od czasu do czasu ukośne spojrzenia w kierunku okna.

Pociąg ruszył i zmęczona całodzienną lataniną, postanowiłam położyć się natychmiast spać. Zasłoniłam firanczką latarnię i przygotowałam sobie wygodne posłanie.

Nagle klamka poruszyła się i do coupé wszedł ten sam oficer, z którego powodu słuniałam przed chwilą kilka westchnień. Przeprosił mnie i zapytał, czy pozwolę mu jechać w tym przedziale, bo, jak twierdził, pierwsza klasa była przepełniona. Przystałam, nie bez strachu: oficer — to dobrze, ale co będzie z walizką?

On zaś zaproponował mi niezwłocznie, że postawi moją walizkę na półce. Zaprotestowałam, ale on, nie słuchając moich prób, zaczął próbować podnieść walizkę.

— Co pani wiezie w tej walizce? Czy nie jest ona naładowana podkowami?

Przestraszyłam się na dobre:

— Nie, to nie są podkowy, to łopaty.

— Łopaty? Poco pan wiezie łopaty?

Zaczęłam pleść coś o ogrodzie, mężu, pracy. Słuchał mnie ze zdziwieniem, uśmiechając się zlekka.

— Kiedyż to łaskawa pani zdążyła wyjść za mąż? Przecież pani nie ma szesnastu lat! Zresztą nie ma pani obrączki na palcu.

Za te szesnaste lat obraziłam się, skończyłam już przecie dawno siedemnastą, a moim zdaniem, wyglądam o wiele poważniej.

— Nie mam obrączki? Ależ jestem małżeństwem cywilnym!

Oficer ośmupiał, a ja zaczęłam myśleć takie niebawymie historie, że aż się sama przestraszyłam.

W duszy przeklinałam sama siebie. Że też wymyśliłam podobnie głupie kłamstwo z temi łopatami! Gdybym powiedziała, że to książki do biblioteki ojca, oficer odczepiłby się, a teraz napewno domyślił się, że wiozę literaturę rewolucyjną i na pierwszej stacji sprowadzi tu żandarmów.

Ale oficer nie tracił czasu na domysły. Zwolna ale systematycznie przysiadł się coraz bliżej do mnie, a kiedy konduktor sprawdził bilety i odszedł, mój towarzysz podróży

nabral więcej jeszcze odwagi. Ja zaś byłam śmiertelnie przerażona. Nigdy jeszcze nie byłam w tego rodzaju opałach i w końcu, zalewając się łzami, opowiedziałam mu, kim jestem, co robię i w końcu odkryłam mu tajemnicę swej walizki.

Oficer zamrzał z zdumienia. Wzruszył go moje łyzy i moje naiwne wyznania rewolucyjne. Zaczął mnie pocieszać, jak dziecko, błagając abym wróciła natychmiast ze st. „Wołchow” do domu i tam czekała na jego powrót do Petersburga.

Tak na rozmowie minęła nam cała noc i, kiedy zbliżyliśmy się do stacji „Wołchow”, znów zaczęłam widzieć, zmartwiona koniecznością rozstania z moim nowym znajomym.

Był wczesny ranek. „Wołchow” otulały szare mgły. W przystani stały już dwa statki: na lewo — księcia Golicyna i jego swiły, na prawo — mój. Pierwszy odpłynął statek księcia, a ja stałam długo na brzegu, gojąc wilgotnymi oczyma oddalające się kontury statku.

Obiecałam memu oficerowi rzucić walizkę do wody, ale gdy roztęł się gwizd „mego” statku, rzuciłam się pędem ku przystani, dzwigając nieszczęsną swoją bagaż.

Po przyjeździe do „Gorodiszcz” najęłam wózek do wyznaczonej mi wsi i pojechałam na poszukiwanie chłopów, którym miałam oddać „literaturę”.

Drogi w tych czasach w powiecie Ładozskim były zupełnie niemożliwe. Zaledwie bryczuszka zdołała wyjechać z jednej jamy, a znów, w gwałtownych podskokach, zsuwała się do drugiej. Jechałam tak cztery godziny, bez odpoczynku i wytchnienia.

Krajobrazy, otaczające nas, nie były wesołe. Drobne krzaczki, błotniste kępy i bezbrzeżne morze błotek Ogarała mnie nuda i smutek i, mimo woli, przypominałam sobie i porównywałam życie koleżanek, spędzających koniec lata w majatkach i letniskach, z moją pełną niewygód i przykrości podróżą. Co chwila pytałam woźnicę, czy przedko dobrniemy do celu. Chłop sześć brzegiem podróznego rowu, podpedzał konie i nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi.

Stanęliśmy wreszcie w małej, zapomnianej, zdawało się przez wszystkich wioszczynie, przed małą, ciemną chatką.

Chłop, którego szukałam, był w polu i kilku chłopaków pobiegło po niego, mnie zaś poproszono do chaty. Usiadłam na ławie i obejrzałam się dokoła. Na środku brudnej, dosyć dużej izby wisiła kołyska, zasłonięta jakimś łachmanem, na ławce spał starzec, po podłodze pełzało kilkorozdzie. Duszo było nieczyste. Czując, że się duszę i wybiegłam na ulicę. Ale i tam nie było wesoło. Kurzy razem z prosiętami poszukiwały pożywienia. Mój woźnica wypręgał konie. Nie podobało mi się to. Tak bardzo pragnęłam wydstać się stąd czemprędzej, podeszłam więc do niego i poprosiłam, by nie rozpręgał koni, bo chciałabym wyjechać zaraz dalej. Ale chłop był uparty i nie rozmowny. Powiedział tylko, że po takiej drodze, konie muszą wypocząć i, bez dłuższego gadania, zabrał się do dalszej pracy.

Nareszcie przyszedł chłop, na którego czekałam. Przywitał się ze mną sucho, pytając czego chcą do niego.

Dowiedziawszy się, że przywiozłam literaturę, skrzywił się: „Ciagle książki i książki, a któż to będzie czytał? Chłop w naszych stronach książek nie czyta, jemu by ziemi dać, byłby rad! A to książki i książki! Nie mają nic innego do posyłania. A i ja, panko, darmo pracować nie myślę. Powiedz im, niech sami choć dzieł się rubelków na miesiąc przysyłają, bo ja też człowiek i strach wielki! Nie miałam żadnych instrukcji co do pieniędzy i zaczęłam mieć coś tłomaczyć o książkach, które dadzą wkrótce i ziemię i pieniądze. Ale chłop słuchał niechętnie, potem zarzucił na jakąś półkę wszystkie broszury i znów poszedł do pracy.

Ja zaś wyszłam na podwórkę, usiadłam na pnju i zaczęłam rozmawiać.

Jakże piękna wydaje się wieś rosyjska zdaleka. Jacy mili i nieszczeniwi chłopcy rosyjscy, dla których warto było opuścić rodzinę i dobrobyt i rzucić się w burzliwe morze rewolucji! Ale zbliżała się wiosna i wcale tak wesoło i jasno! Walpię, czy zgodziłabym się zamieszkać na zawsze z tymi chłopami. Ale głos towarzyszy Pawłowej szeptał mi do ucha:

„Zła, niemądra dziewczyno! Czyż nie od ciebie zależy przerobić to wszystko i poprawić? Czy potrafiłaś być żyć spokojnie, podczas gdy lud wiejski rosyjski umiera z głodu? Marzą ci się oficerowie gwardji i sale balowe i muzyka... Z takim usposobieniem daleko nie zajdziesz. Pracuj, rozdawaj broszurki i proklamacje, które otworzą przed chłopem rosyjskim bramę ku wolności i szczęściu! Zadrżałam zawstydzona tem wspomnieniem i pojechałam dalej.

W następnej wsi miałam oddać „bibulę” młodemu chłopcu, który już był w mieście. Ten przyjął mnie z radością i zorganizował ze-

Wjazd lub przejazd przez dane państwo — to jakby zobaczenie nowej twarzy ludzkiej. Jakże się zmieniły fi- zje narodów od roku -1927-go?

Nie wiem, czy odpowiedź na to pytanie lepiej, niż ów przysłowiowy podróznik, który ujrawszy jedną rudą Francuzkę w Hawrze, odnotował: że wszystkie Francuzki są rude, nie wiem, nie rzezę! Wszystkie t. zw. obserwacje podróźnicze są w gruncie rzeczy tylko subiektywnym odbiciem tego małego wędrownego świadka, jaki posuwa się wzdłuż okien wagonu, tramwaju, czy chodnika. Ale ponieważ to nie przeszkadza innym uogólniać, więc i ja odnotowałam garść swoich wrażeń z podróży.

Mały, wędrowny światek włosko-środkowo-europejski cechował w r. 1927 i prawie tym samym miacięcu w przynębie! Cechą tego świata jest dziś pustka! W wagonie Warszawa — Budapeszt jest nas coś troje (na być podobno zniszony i na zdrowie mu). Ale się zawsze myśli w takich razach „bo to u nas, a tam inaczej”.

Tymczasem tam jest tak samo. Dalekobieżne międzynarodówki, ekspresy, oryenty i oksydenty mijają nas — puste..

W restauracyjnym raz tylko widziałem jedną panienkę i dwóch chłopców. Tylko raz od Dziedzi (czy nie lepiej Dziadów) do Wenecji.

W drodze wpadła mi do rąk gazeta z artykułem o Hitlerze i 3-ciej Europie, stanowiąc za wiele rozmachu. Daleko realniej jest, myśląc kategoriami europejskimi, myśleć o Europie 3-ciej klasy. Bo w istocie, czyż, ten wagon 3-ciej klasy, półpełny, wobec całkowicie pustych innych, nie jest symbolem Europy jutra? Gdyby nie paneuropejczy posłowie, ministrowie,

dyplomaci, dziennikarze i inni szczęśli wie nie placący, jużbyśmy zapewne oglądali inny wagon, w jakimś history czno-komunikacyjnym muzeum.

Ala i 3-cia klasa stała się mniej ciekawa. Rozmowy toczą się o rzeczach drobnych i miejscowych. Co kilka stacyj ludzie wsiadają i wysiadają, prawie wszyscy. Uwiło się wewnątrz narodów takie panregionalne, drobne, małe życie, coś, jak poniedziałki w Warszawie, albo Świeciana-nami i Wilnem. Nie widać też już takiej nędzy, jak w epoce t. zw. konjunktury, znać, że zniżka alimentarjów i alimenty socjalne zrobiły swoje, ale jest zaskoczenie i apatia.

Obserwuję twarze swoich przygodnych sąsiadów i wyszukuję na nich ide.

Niemaj! Jeszcze przed czterema laty błąkały się strzępy lokarnizmu. Dziś niema ani manduryzmu, ani pacyizmu! Europa jest pusta, jak jej wagon! Panuje w niej mały, drobny paneuropejski spec!

Pod jednym względem oblicze dawnej znajomości, dokuczyliwej, starej paniny, zmieniło się in plus. (Każdy domniśli się chyba bez bliższych wyjaśnień, że jest mowa o pannie Granicy). Opryskliwa, nudna, męcząca i nie grzeczna jeszcze w roku 1927, teraz

poprostu dlatego, że życie jest sprzecz nie, a może poprostu, że nurtują w niem dziś jakieś siły niezbadane, które wynykają się jeszcze naszym obserwacjom.

Dość, że świat wydał mi się, o wie le bardziej pokojowy, niż w epoce Locarna, o wiele mniej biedny, niż w epoce t. zw. dobrej konjunktury, ale po mimo wszelkich ułatwień granicznych, o wiele bardziej egoistyczny, obojętny i zasklepiony w sobie, niż przed 4-ma laty!

Długi czas, oglądając cudowne refleksy słoneczne, nad Adriatykiem, nie mogłem stworzyć hipotezy na temat, do czego właściwie idzie Europa?!

Po piero, kiedy ujrzałem w jednym z mia steczek podweneckich dwie wille wio skie obok siebie, wytworzył mi się jej obraz, może fantastyczny, ale może i nieco słuszny jednocześnie. Szczelnie otaczał obie posiadłości wysoki, szkłem posypany mur. Przebieg taki mur byłoby rzeczą niezwykle trudną, nawet dla kochanka najpiękniejszej signoriny, a co dopiero dla kupca z eksportem! Wewnątrz obu domów cisha i sen. Wewnątrz ogrodów cudne rośliny przez nikogo nieogładane. Pod drzewem pomarańczowem ławka niko mu niepotrzebna.

Ala pomiędzy murami niema sta-

rozanie za wsią w opuszczonej odrynie. Zgodziłam się odważnie na wzięcie udziału w tem zebraniu, ale w duszy bałam się bardzo. Bywałam często na zebraniach, ale nigdy jeszcze nie przemawiałam publicznie. Ale nie było rady i odważnie powtórzyłam zdania, słyszane na wiecach. Było to przemówienie zupełnie chaotyczne, ale moi słuchacze nie byli wymagający, z wdzięcznością ścisłali moją dłoń, dziękując za to, że przyjechałam do nich.

Tak przyjeżdżałam cały prawie miesiąc ze wsi do wsi i wreszcie udałam się do Terioki, by zdać sprawozdanie ze swej pracy.

Terioki (w Finlandji) były sztabem rewolucji rosyjskiej. Każdy z rewolucjonistów, gdy czuł się zagrożonym w Petersburgu, wyjeżdżał do Terioki, gdy czuł się, jak ryba w wodzie. Spotykał tam atmosferę przyjazną, „swoich” ludzi, tych samych przekonani i sentymentów.

Studentów było tam moc i wszyscy — głodni. Rzucałi się chwiecie na letników, proponując korepetycje i za grosze przesiadywali godzinami na lekcjach. Szczęście dopisało mi: dostałam odrazu kilka lekcji. Wystarczyło tego na skromne utrzymanie, ale też więcej niczego nie potrzebowalam. Czulałam się doskonale, tylko niepokoiło mnie bardzo moje spranie.

stała się niezmiernie miła i łatwa w pożytku.

Nawet na najbardziej surowej granicy włoskiej rewizja jest nader powierczowna i b. szybka. Cztery lata teroryzmu, konferencje ekscelencji, a nade wszystko krzys gospodarczy zrobiły swoje! Każda p. Granica stała się nieco kokotkowata. Każda uśmiecha się słodko i nie czyni trudności ze słowami: „Tylko, kotku, zostaw jak najwięcej pieniędzy!”.

I tutaj po przejeździe ostatniej 4-tej granicy przyszło mi na myśl, czy wypadkiem Europa nie zbliża się do paneuropeizmu tak zwanym po wileńsku „czarnym chodem”. Paneuropeizm po przez niedbalstwo biurokracji!

Widac, że tym celnikom, konduktorom, żandarmom śmiertelnie „nadojadły” ich czynności przeciwdziałające uśmiechowi zdrowego rozsądku go spodarczego: „przychódz i kupuj!”. Widać, jak popękały beczki graniczne i jak cieknie z nich życie nazewnątr!

Europa idzie więc w 2-ch kierunkach, napozór zupełnie sprzecznych: państwowo-protekcynno-celno -regionalnym i ogólnoeuropejskim. Jak te sprzeczności godzą się ze sobą — nie umiałabym na to odpowiedzieć?!

Może

W życiu prywatnym jest niestety skomany, nie tracąc przytem nic z poczucia godności osobistej.

Przeżył podkopany zdrowie. Pod koniec zostaje dotknięty bolesną utratą pamięci. Musi prowadzić dziennik, z którego nierzadko dowiaduje się, że odkrycie, nad którym pracował w danej chwili, było przez niego do konane o wiele wcześniej.

Umiera Faraday 25 września 1867 r.

W r. b. nauka całego świata złożyła hołd pamięci tego wybitnego fizyka. W hołdzie tym wzięła udział wszelka nauka wileńska. Dnia 16 grudnia starnier: Wileńskiego Towarzystwa Fizycznego został urządzony obchód ku czci Faradaya.

Sala wykładowa zakładu fizycznego przy ul. Nowogrodzkiej miała całkowicie c wypelnioną. Profesorowie, nauczycielstwo, młodzież szkolna, goście. Zagaja prof. Dziewulski.

W nadzwyczaj ciekawie opracowanym referacie kreśli prof. Staszewski sylwetkę Faradaya, jako naukowca i człowieka.

Następuje część doświadczenia.

Tłumaczy prof. Dziewulski o zasadzie indukcji elektromagnetycznej i transformatorach, w nieobecności prof. Patkowskiego dr. Niewodniczanski mówi o prawach Faradaya w elektrolizie, o d. a. i paramagnetyzmie, o skreśleniu płaszczyzn polaryzacji.

Ostatni mówi prof. Weyssenhoff. Kontynent europejski przyzwyczajony do abstrakcyjnego sposobu myślenia dłuższy czas opiera się zbyt konkretnemu njmowaniu zjawisk w dziedzinie elektromagnetyki przez Faradaya. Przychodzi z pomocą Maxwell, który daje matematyczny podkład rozważaniom Faradaya.

W. A.



W STULETNIĄ ROCZNICĘ ODKRYCIA ZJAWISKA INDUKCJI MAGNETOELEKTRYCZNEJ

W roku 1931 minęła 100 lat od chwili dokonania przez Michała Faradaya epokowych odkryć w dziedzinie elektryczności.

Jako syn biednego kowala ujrzał światło dzienne w roku 1791 na przedmieściach Londynu. Po ukończeniu szkoły powszechnej stał się przy warsztacie introligatorskim. Czyta to, co opowiada. Znajomość z Davy (wynalazcą lampy górniczej) decyduje o karierze naukowej, którą Faraday rozpoczyna od... mycia probówek. Gdy Daway wyróżnia w podrz naukowej po Europie F. pełn przy nim funkcje służącego. Stopniowo były służący swemi dociekaniem w dziedzinie fizyki zaczyna zwracać uwagę.

Bada powstawanie prądów elektrycznych przy zmianie pola magnetycznego (zjawisko indukcji magnetoelektrycznej — istota działania dynamomaszyny), dalej wykrywa istnienie ciał, które są przez magnes odpychane (diamagnetyzm) oraz prawa rządzące prądami wodałen prądów elektrycznych w cieczach).

Brak należytego przygotowania matematycznego (był samoukiem) i precyzyjnych narzędzi wyrównuje genialną intuicję.

Dary zdradzi, Faraday zwycięża w sposób szlachetny małostkowość charakteru swego bytoga pana. W r. 1825 zostaje dyrektorem Royal Institution, jednej z najpoważniejszych instytucji naukowych w Anglii. Odrzuca szereg korzystnych finansowo propozycji, by móc całkowicie poświęcić się badaniom.

W życiu prywatnym jest niestety skomany, nie tracąc przytem nic z poczucia godności osobistej.

Przeżył podkopany zdrowie. Pod koniec zostaje dotknięty bolesną utratą pamięci. Musi prowadzić dziennik, z którego nierzadko dowiaduje się, że odkrycie, nad którym pracował w danej chwili, było przez niego do konane o wiele wcześniej.

Umiera Faraday 25 września 1867 r.

W r. b. nauka całego świata złożyła hołd pamięci tego wybitnego fizyka. W hołdzie tym wzięła udział wszelka nauka wileńska. Dnia 16 grudnia starnier: Wileńskiego Towarzystwa Fizycznego został urządzony obchód ku czci Faradaya.

Sala wykładowa zakładu fizycznego przy ul. Nowogrodzkiej miała całkowicie c wypelnioną. Profesorowie, nauczycielstwo, młodzież szkolna, goście. Zagaja prof. Dziewulski.

W nadzwyczaj ciekawie opracowanym referacie kreśli prof. Staszewski sylwetkę Faradaya, jako naukowca i człowieka.

Następuje część doświadczenia.

Tłumaczy prof. Dziewulski o zasadzie indukcji elektromagnetycznej i transformatorach, w nieobecności prof. Patkowskiego dr. Niewodniczanski mówi o prawach Faradaya w elektrolizie, o d. a. i paramagnetyzmie, o skreśleniu płaszczyzn polaryzacji.

Ostatni mówi prof. Weyssenhoff. Kontynent europejski przyzwyczajony do abstrakcyjnego sposobu myślenia dłuższy czas opiera się zbyt konkretnemu njmowaniu zjawisk w dziedzinie elektromagnetyki przez Faradaya. Przychodzi z pomocą Maxwell, który daje matematyczny podkład rozważaniom Faradaya.

W. A.

Zbliżają się święta pokole i radości. A dni te zawiesimy broń na kółko, nie czas na wojnę w najsprawliwszym naszym przeciwniku! Chcemy się serdecznie i uczciwie przełamać opłakiwać. Zanim kiedyś znowu się z sobą zmierzimy, podajmy dziś sobie rękę.

Na szczęście nie tylko mamy przeciwników. Mamy i sprzymierzeńców, sympatyków i szczerych przyjaciół. Tym chemy dziś przedewszystkiem podziękować za ich pomoc i za wielokrotne okazanie nam przyjaźni. Chcemy im życzyć nie tyle szczęścia i pomyślności, ile dobrej woli we wszystkich ich poczynaniach. Niech się wam raczej powodzi źle, niech was rażej spotyają, co jest najświętsze w człowieku: dobrej woli. Tego życzymy przyjaciółom i przeciwnikom. A to wspólnie życzenie niech nas polaczy w jedno, w jedną rodzinę duchową, w tym najradośniejszym dniu w roku, w Dniu Bożego Narodzenia.

Nasz wiążący dodatek ukaze się w dzień Nowego Roku.

Redakcja „Wilecznych Zębów”.

nu walki. Życie wybujało wżwyż, ale nie poszło wszzer. Egoizm, wnieście się w kłębek, pokój, kwietzym, ostrożność, apatia... oto, co mi nasunął ow symbol Europy powojennej: dwie wille, otoczone cyprysami.

Kazimierz Leczycki.

Rozczarowana i zmęczona wróciłam do Petersburga i wkrótce wyszłam za mąż za studenta prawa i wyjechałam do Moskwy.

Nastąpiła cisza. Cisza przed burzą.

Tydzień powieści polskiej

Niefednokrotnie już zabieraliśmy głos w sprawie kryzysu czytelnictwa, będącego jednym z wielu smutnych następstw wojny.

Materalizacja życia odbija się w sposób fatalny na skali zainteresowania się szerokiego ogółu nauką i nawet literaturą. Literatura wartościową przez dewszystkiem. Poczytność książek, zwłaszcza poważnych autorów polskich, spadła do minimum, pociągając za sobą, prócz nieobliczalnych strat natury moralnej, krach materialny wszystkich, kto z wydawaniem i rozpowszechnianiem książki miał do czynienia.

Absztyncję tę czytelników odczuli dotkliwie autorzy, których poczytność spadła do minimum, w stopniu jeszcze znacniejszym, wydawcy, liczący na przeżycie tego braku zainteresowania książką, no i, rzecz jasna, księgarze.

Jako środek ostateczny, jako zastrzyk morfiny w chory organizm społeczny, zastosowano „Tydzień powieści Polskiej”.

Sympatyczna ta impreza — inowa cja, zorganizowana została przez Związek Księgarzy Polskich, który po długich naradach z T-wem Wydawców, Związkiem Literatów i Związkiem Syndykatów Dziennikarzy, obradujących nad sposobami zaradzenia zhu, uznał, ten sposób pobudzenia zainteresowania książką za najlepszy.

Akcja została sumiennie przemysłana, opracowana w szczegółach i zorganizowana w całej Polsce.

Jak Polska długa i szeroka, rozszła się wieść, że w okresie od 20 listopada do 8 grudnia będzie „Tydzień Powieści Polskiej”.

Zaczęła się kampania propagandowa przy pomocy prasy, radia i organizacji literacko-naukowych.

Niemal codziennie czytało się wzmianki o przygotowaniach, artykuły omawiające tę bolesną sprawę.

Nadszedł „tydzień” i przeszedł. Głuchło już o nim i zapewne mało, kto zdaje sobie sprawę z wyników uzyskanych.

Czy „zabieg” udał się, oto pytanie, nasuwające się obecnie. Czy udał się? Czy choroba apatii książkowej minęła?

Któż może o tem lepiej poinformować, niż księgarze? Oni organizowali tydzień, oni utrzymywali kontakt z czytelnikiem, urabiali jego zainteresowania do książki polskiej.

Panowie księgarze, z którymi rozmawialiśmy na ten temat, narysowali nam obraz, niestety, w ciemnych barwach.

Po zreasumowaniu wszystkich informacji, będących wynikiem ścisłej obserwacji i cyfr, trzeba powiedzieć wyraźnie: akcja nie dała rezultatów.

Polski słomiany ogień wyluczał jasnym płomieniem w pierwszych dniach akcji propagandowej i zgasł... w środku „tygodnia”.

Zainteresowanie szerokiej publiczności polską powieścią było tak nikłe, że niewielu sobie nowych czytelników zdobył autor polski w tym tygodniu.

Prawie nikt nie kupował książek, a nawet niewielu tylko osób przyszło do księgarni, aby bodaj popatrzeć na nie.

Ograniczano się do obejrzenia wystaw z fotografiami autorów.

Tak przynajmniej było w Wilnie. Personalnie księgarz miał polecenie podsuwania kupującym powieści polskiej. Prosił ktoś o marne powieści lub przekład. Uprzejmy sprzedawca pokazuje mu proszoną książkę i, nawiązując do „tygodnia”, podsuwa kilka powieści polskich.

Skutek? Niemal bez wyjątku negatywny, a nawet były wypadki, że kupujący, jakby zażenowani namysła się i wreszcie... przeprosiwszy za kłopot, wychodził, nie kupiwszy, ani powieści polskiej, ani powieści tłumaczonego.

Księgarnia Sw. Wojciecha, licząc na skutek propagandy i wzmoczenie się zainteresowania autorem wileńskim, skompletowała 20 powieści autorów wileńskich, dodając do tej wiazanki ładnie wykonany futerał, w postaci koszyczka.

Taki komplet ładnie oprawnych powieści, z autografami autorów, kosztujący 130 złotych, miał być prezentem gwiazdkowym.

Czy był na nie popyt? Owszem. Kilka osób przejrzało tytuły książek, a jedna, dosłownie jedna, nabyła komplet.

Nie pomogły i autografy. Nawet biblioteki nie uznały za stosowne poprzeć akcji i, jak nas poinformowano w księgarniach, żadna nie poczyniła, bodaj małych zakupów.

Milym wyjątkiem była jedna z bibliotek miejskich.

Tak było zresztą i w całej Polsce. Ruch w księgarniach zwiększył się bardzo nieznacznie, niemal wcale, a tylko może w Warszawie kilku autorów, specjalnie modnych i poczytnych, miało trochę roboty z podpisywaniem swoich książek.

Domagano się o autografy przez snobizm, a że wilińskie naogół nie chorują na tę chorobę, więc i to nie pomogło. Zresztą nie mamy w Wilnie Makuszyńskich, Sieroszewskich, ani Kadenów. Swoich, wileńskich autorów znany osobiste wileń... autograf można dostać i bez kupowania książki.

Indagując p.p. księgarzy w sprawie tygodnia, zapytywaliśmy, czy na przyszłość są zamierzone podobne „tygodnie” i czy znów mają obejmować tylko dzieła literackie, lub też naukowe jednocześnie?

Optymizm p.p. księgarzy uwiidocznili się tu w całej pełni. Mimo fiasca, mimo pewnych strat (wysiłek i koszty związane z przygotowaniem tygodnia były niewspółmiernie małe w stosunku do sprzedaży w tym okresie) poniesionych przez księgarne, wszyscy księgarze wileńscy, że wymienię tu tylko p. Zawadzkiego, Krygiera (Gebethner i Wolff) i Zyndę (księgarnia Sw. Wojciecha) są tego przekonania, że niepowodzeniem tegorocznym nie należy się zrażać, gdyż tydzień dał pewien zysk natury moralnej.

Są tego przekonania, że niepowodzeniem tegorocznym nie należy się zrażać, gdyż tydzień dał pewien zysk natury moralnej.

Trochę choć pomyślano o książce. P. Krygier nosi się z zamiarem zaanżycowania urzędzenia na terenie całej Polski w roku przyszłym tygodnia

książki wydanej w Wilnie.

Jak widać więc „pierwsze koty za płoty” i kto wie, może następne tygodnie przyniosą radykalną zmianę nastrojów.

Publiczność zainteresuje się książką polską, odmówi sobie jednego po-

siedzenia w cukierni, lub obejrzenia filmu bodaj z saną „boską Marleną” i kupi książkę. Księgarze zaczęli sprzedawać, wydawca drukować, a talent autora zroszony honorarium, wydał obfity. Nastąpi okres siedmiu lat ilustych... książki W. Tatarzyński

TEODOR BUJNICKI

KALENDARZ

MIESIĄCE MAJĄ BARWY. STYCZEN BIAŁOSINY WLECZE SIĘ KOŁOROWYM WĘZEM SERPENTYNY. NOCAM SIĘ KOŁYSZE W WIELKIM WOZIE, A BŁĘKITNYM ODDECHEM UPAJĄ I MROZI, LUTY MIENI SIĘ CAŁY CHŁODNYM FIOLETEM. I MOŚCI DROGĘ ŻŁOTYM POGUBIONYM DZETEM, SMUTEK MU SIĘ ZANIÓSŁ POD OSTRZONĄ RZESĄ, RAMONA SA BEZWŁADNE ŁOPOCĄ I TRZESA; WŁOČY SIĘ PO ULICACH, W KOŚCIOŁACH STAJE, MILCZY. AZ NAGLE SIĘ ROZPLACZE POTOKIEM LEZ ODWILŻY, SZAROBRUNATNY MARZEC OPUSZCZA CIASNE MIASTO, NA ODTAJAŁYCH POLACH KOTKAMI WIERZB WYRASTA, CZUJNĄ I SILNĄ DŁONIĄ ROZKUJE Z ŁODÓW STRUGI, PIERWSZĄ PIĘŚNIĄ SKOWRONKA POBŁOGOSŁAWI PŁUGI I ZNOWU POTEM WRACA W SZPALERY RUCHOMYCH ULIC I ŚNIEG, ZMIĘCIONY Z JEZDNI DO SZAREJ JEZDNI TULI. A KIECIEC JEST RÓŻOWY I MA RADOSNE OCZY, DZWONIĄCYM KOROWODEM PRZEZ MIASTO SIĘ PRZETOCZY, ŚNIEGIEM, LUB CIEPŁYM DESZCZEM, JAK WINEM SIĘ ZACHLYSNIE, WYCHUCHA Z RUCHÓW PRZYŁASZCZKI, LUB ZWARZY W SADACH WISNIE, MAJ ŻYŁONĄ, NIEBIESKI, ROZKWIŃTNE SŁODKO BZAMI, A SERCA ZAKOCHANE OSZUKA I OKŁAMIE, ZABŁĄKA W WONNYCH GASZCZAK, OSLEPI I ODURZY. A POTEM SIĘ ROZSIEPIA SŁOWIKIEM W KRZAKACH RÓZY, A POTEM SIĘ ROZSREBRZY KSIĘŻYCEM NAD OGRODEM, WRESZCIE ZRUMIENI TWARZĘ WYKWIŁYM Z MROKÓW WŚCHODEM I WYPROWADZI CHWIEJNYCH Z ALTANIE, KRZAKÓW, ALEJ, OPRYSKA ŻŁOTEM ŻORZY I POMKNIĘ RZESKO DAŁEJ, CZERWIEC CHWYCI W RAMIONA, WYSTRUGA I OKRĘCI, UNERWA TWARZ W JASMINACH, W ROZKWITŁEJ BŁADO MIĘCIE, A W MIEŚCIE SIĘ ZAKRZTUSI DYMEM WYPLUTYM Z FABRYK, WIĘC SIĘ ZASZYJE W ZBOŻA, POMIĘDZY SINE CHABRY, ŻOŁTY, JAK MIOD LIPOWY, PACHNĄCY KONICZYNĄ, LIPIEC SPOJRZY OCZYMA MOCNIEI, JAK WINO, ZYLASTE RECE ZŁOZY NA GIBKIEJ DZWONNEJ KOSIE — PŁONĄCĄ TWARZ OMYJE W CHŁODNEJ WIECZORNEJ ROSIE — SIENPIERZ W OBWISŁYM KITLU, ZŁOCISTY I RUMIANY, PROWADZI DO UKRYTEJ OD SŁONCA ALTANY, PODAJE KWAS CHŁEBOWY Z ŁODOWNI PRZYNIESIONY, SCIERAJĄC POT Z LYSINY CHWAŁI DOSTATNIE PŁONY; WIECZOREM SIĘ PRZECHADZA PO SKOSZONEJ ŁĄCE I LICZY BACZNIE OKIEM GWIAZDY SPADAJĄCE... POZNO UMARLE KWIATY CHCE OBUŻDZ WRESZCIE, GDY BŁADZI W RUDYM PŁASZCZU PO WIEDNĄCYM LESIE; MĄCZY DESZCZ SĄCZY KROPLE ZA KOŁNIERZ PALTOTA, PO SZYBACH BERNI, DUDNI MONOTONNA SIŁOTA — LIŚC W ALEJACH SZŁEŚCIE MELODIĄ JESIENI, WIATR ZAWIĄŁ OSTREM ZIMNEM, TRZASNĄŁ DRZWIAMI SIENI — SMAGNĄŁ GARCIA ULEWY W CIASNY KĄT TRAKTJERNI, GDZIE ZASIADŁ PRZYGARBIONY, BRUNATNY PAZDZIERNIK. LISTOPAD JEST W MUNDURZE, W PODARTYM SZYNELU, PO PUSTYCH SCIEŻKACH PARKU BŁĄKA SIĘ BEZ CELU, PATRZY W TWARZ PRZECIHOJĄ, OBNIŻA I WAŻY — LECZ RACHUNEK ZAWODZI! — NIC NIE MÓWIA TWARZE, WIĘC PROZNO GŁUCHE MYŚLI W MOZGU SIĘ SZAMOCA, GDY PRZEMYKA DO DOMU CIEMNĄ, ZIMNĄ NOCĄ.

BLAKNĄ SWITY, ZACHODY, DZIŚ SIĘ STAJĄ KROTSZE, ŚWIAT NAGLE SIĘ OBUŻDZI W BIAŁEM, CIEPŁYM FUTRZE, OCKNĄ SIĘ Z GNUSNEJ DRZEMKI, STRZASNĄ ŚNIEG Z POWIEKI, OCZY SIĘ ROZISKRZYŁY, NA TWARZY WYPIĘKI. GRUDZIEŃ SIVY ROZPOSTARŁ SCHOROWANE RECE I WSKAZAŁ SZCZĘŚCIE ŚWIATA ZRODZONE W STAJENCIE, I ZGASŁ, JAK SIVY PŁOMYK W PRZEDWIEKOWYM MROKU, ROZTOPIŁ SIĘ W NICOSCI DO PRZYSZŁEGO ROKU.

W CISZY SŁYCHAC, JAK ZWOLNA MIJAJĄ GODZINY... MIESIĄCE MAJĄ BARWY. STYCZEN BIAŁOSINY...

NA FILMOWEJ TAŚMIE

PROGRAMY ŚWIĄTECZNE

Najdostępniejsza rozrywka — kino, na czar dni świątecznych zwrócić na siebie wzrok wiele setek, tysięcy ludzi.

Robiono statystykę uczęszczania do kin w święta i przekonano się, że 80 proc. mieszkających miast chodzi do kina. Z tego założenia wychodząc, dały kina wileńskie na święta programy raczej przeciętne niż lepsze. Bądź co bądź publiczność pójdzie i na te obrazy, jakie są. Pociągają nico anonsie, zapowiadające na początek nowego roku lepsze obrazy (np. „Trader Horn”), lub „Wielkomyjskie ulice”.

Tymczasem oglądamy w „Heljosie” Buster Keatona na froncie. Można rozmaicie sądzić o wartości komizmu na ekranie, lecz Keatonowi przynależą należyte oryginalności w ujęciu komizmu. Jego ciągle „neruchoma”, zastygła twarz zyskała mu przydomek „człowiek, który nigdy się nie śmieje”, a przecież tłumy pokładają się ze śmiechu, patrząc na niego (np. Małżeństwo na złość). W „Heljosie” znajdziemy tedy parę godzin śmiechu, jeżeli nie będziemy myśleli o ten, że dziwiłkowie obniżyli wartość Bustera, który zbudował swoją sławę na mimice i ekspresji ruchów.

Inne, równie sławne nazwisko gwiazdy filmowej, tym razem rodzaju żeńskiego zdobi afisze „Hollywoodu”. Jeanette MacDonald gra w „Narzeczonej z loterii”. Bodaj tylko osoba głównej bohaterki jest zaciętą tego filmu. Pomyśl scenarzystę jest conajmniej fantastyczny, a treść ałwna. Bo — wygrywane narzeczonej przez górników z północy, a następnie perypetje dramatyczne bohaterów. Z lotwo dmyślnym zakończeniem — nie dają ani emocji, ani napięcia dramatycznego. O jakie widać chodziło realizatorom. — Poza tem jest to obraz niedługo wykonany w atelier z papierowym statkiem, sztucznym śniegiem i operowymi sytuacjami. Nazwisko Jeanette MacDonald służy tu jedynie za przynętę. Film sławy jej z pewnością nie przyniesie, choć nawet i z tak nędznej roli potrafiła ta doskonała aktorka i śpiewaczka wydobyc amoksum wartości. Program wie świąteczny „Hollywoodu” mniej jest udany, natomiast dodatki są dobre, a nawet doskonałe (Fo'ka).

„Casino” wystąpiło z filmem Duponta „Salto mortale”. Po sukcesie filmu syrkowego „Variete” Dupont powrócił nanow do tego tematu. Najciekawsze są w „Salto mortale” próby zdjęć z „wędrującym obiektywem”. Dramatycznie podobną się mogą być nym numerów cyrkowych. Treść banalna i nowego nie przynosi — walka dwóch mężczyzn o kobietę.

Z programem lepszym od zwykłych wystąpiło Kino Miejskie, dając „Chate z wsią”. Staruszek Kraszewski nie myślał nigdy o czemś takim, jak sfilmowanie jego powieści — a jednak tak się stało. Czy obraz się udał?

Jeżeli nie uwzględnić drobnych zmian tekstu, słabych efektów dramatycznych i niepewnej gry aktorów — to tak! Na te znane powieści Kraszewskiego widzimy rozwijający się dramat cygana Tumry i córki gospodarza Motrny. Byłoby wszystko nieźle, lecz aktorskie siły zawiodły. Jedynie cyganka Aza (Jedepińska) wykazała zdolność aktorską. Reżyser popełnił błąd, rozkładając akcję.

Plenery dobre, lecz zbyt krótkie. Ilustracja muzyczna dobrana starannie i trafnie. Naogół wrażenie pozostaje nieźle, szczególnie, że ciekawy dodatek „Kakowskie wesele” przynosi interesujące zdjęcia.

O innych kinach — innym razem Tad. C.

UNIKAJCIE ZARAZY

Jedynym wypróbowanym i zapobiegającym wszelkim infekcjom w ustach i krtań, gdzie lokują się zarazki grypy, anginy, szkarlatyny i odry, jest znakomity środek zapobiegawczy Paramint-Erbe. Paramint-Erbe są to tabletki o przyjemnym smaku i zapachu. Według dzisiejszego stanu wiedzy lekarskiej stanowią Paramint skuteczny środek dżynficykacji, który niezwłocznie zastosowany być musi wszędzie, gdzie zachodzi obawa zarazenia się, jak np. przy epilepsji, u chorujących zakaźnie (podczas epidemii) w domu, szpitalu, szkole itp. 1—2 tabletki Paramint rozpuszczonych kilka razy dziennie w ustach zapobiegają infekcji. Korzystając z wygodnego nowego opakowania kieszonekowego po 20 tabletek, które już jest do nabycia w każdej aptece i składzie aptecznym. W.Z.P. VI—2786/31.

SYLWETKI TEATRALNE



P. Kamińska w sztuce Marchanda „Logika Pana Baltazara”

Z SĄDÓW

TRAGEDIA MAŁŻEŃSKA

Małżonkowie Kozakiewiczowie żyli ze sobą od lat kilkunastu, lecz pożyć ich było zgodne.

Zwłaszcza w ostatnich czasach sprzeczki pomiędzy małżonkami stały się zbyt częste.

Powodem do tego posłużył były sublokator Kozakiewiczów, Jan Windys.

Kozakiewiczowa porzuciła dom i dzieci i zamieszkała ze swym kochankiem.

Kilkakrotnie Kozakiewicz udawał się do niewiernej żony i prosił, ażeby powróciła do domu.

Przewrotna niewiasta, bojąc się jednak ze strony męża zemsty, postanowiła znowu uciec. Pod pretekstem zabrania od kochanka rzeczy udała się do niego zpowrotem.

Zanepokojony dłuższą nieobecnością żony oskarżony ułłł się do mieszkanka Windy sa, lecz po drodze został uprzedzony przez znajomego, że kochanekowie mają zamiar uciec do innego miasta.

Uścisnąwszy to, Kozakiewicz, który od dłuższego czasu chorował na padaczkę, do stał ataku epileptycznego, po przejęciu którego powrócił do domu, gdzie zastał swoją żonę.

Radość jego była jednakże przeczesna, gdyż żona oświadczyła mu, że zmieniła swój zamysł.

Wówczas poniedział małżonkami doszło do sprzeczki. W pewnej chwili Kozakiewicz chwycił żonę, chcąc nim zadać cios męzowi.

Ten jednakże wyrwał zbrodnicze narzędzie i w uniesieniu zadał kilka ciosów żonie.

Wczoraj sprawa ta znalazła się na posiedzeniu Sądu Okręgowego, który po zapoznaniu się z całokształtem i wysłuchaniu opinii biegłych prof. M. Roosego i dr. Małkowskiego, którzy orzekli, że oskarżony podczas dokonania zbrodni znajdował się w stanie zamroczenia epileptycznego, co wyklucza wszelką możliwość ukarania go za ten czyn.

Orzeczenie to dało asumpt obrońcy oskarżonego, adw. Millerowi, wnieść o uniewinnienie, ewentualnie o zmianę kwalifikacji prawej, cooby pociągnięto za sobą mniejszą karę.

Sąd przychylił się do wniosków obrońcy, przeszedł z art. 453 KK. na art. 473 i skazał oskarżonego na 1 rok domu poprawy.

KOMIN OJCZYSTY

...Zaczęło się jak co roku. Od Justkowa, Olszowy, Nowych Bud, od Rokity i Suchodębia polnemi drogami i szosą ruszyli do cukrowni w Gołębiowie wozy pełne buraków. Niedrozo wjeżdżali na podwórze przed wagę. Dworskie fury, jak zawsze, były tu przed chłopskimi. Najwcześniejszy wiozły zbiór no, i najbliższe miały do fabryki. Więc ci z dalszych stron zakreślił po kole na rynek i ustawiali się z końmi bliżej dziedzińca, pod murem, niby w czas odpustowy pod kościołem. Gołębiów w te dni wyglądał uroczysty, niż w inne dni powszednie. Osada stawała się na czas pewien małym miasteczkiem, gdzie pełno obcych sobie ludzi, gdzie dużo gwaru i zamieszania. Jak na odpuscie kręciło się chłopstwo między zabudowaniami, a u Cytrona, naprzeciw kościoła, wielki zbiór miały wódka i piwo. Tu przy okazji można było obgadać niejeden interes, niejeden sprawę szczęśliwie za kończyć, co dawało okazję do specjalnego poczęstunku. Cytron za szynkwasem, dobrawszy sobie na te dni do pomocy zięcia, córkę i żonę, obsługiwał wszystkich uczciwie, wiedząc na pamięć, komu za ile można zborgować na poczet wypłaty za buraki. Chciał to żyd, ale człowiek sprawiedliwy.

A na rynek zajeżdżały wciąż nowe, ciężko naładowane furmanki, coraz to częściej robiło się w Gołębiowie i potwra kilka dni, zanim te płony na miejsce się wylądują i każdy wróci pułym wozem do chałupy. Kolejka do wagi była oddawna wyznaczona (wsia mi przyjmowano), każdy się jednak spieszył, każdemu zależało na wcześniejszym obrachunku. Cały rok przedzie czekało się na tę chwilę.

Tak tedy od świtu wokół na uprzętych już polach słyszało się powolny, pracowity łomot kół wozowych. Sucha, słoneczna jesień okręca-

ła szprychy ciemnym pyłem. Niewiele go było, bo urodzajna ziemia tutejsza nie rozsypywała się łatwo pod wiatra mi. Sklejały ją dobrze przyrodzone soki, wznosił nawóz, którym ją hojnie darzono.

Najgłośniejsz turkotało na szosie, pობudowanej przed kilku laty przez cukrownię aż do samej stacji kolejowej. Na tym szlaku zawsze panował duży ruch. Na wiosnę, gdy polną drogą rzadko kiedy jakiś zaprząg się potoczył, tędy odjeżdżały podwozy ze składów fabrycznych, napełnione workami z cukrem. Ładowano je później do czerwonych wagonów i szedł cukier gołębiowski w świat, do Warszawy, a z Warszawy może jeszcze dalej do Rygi i Petersburga. Najmniej potrzebowano cukru w samym Gołębiowie, ale wszystkie, co żyło na dwie mile wokół osady, tak czy owak z cukrem miało do czynienia. Gdy się mówiło „chleb” — myślało się „cukier”, chociaż tu mało kto jego słodczy pociągował, mało kto mógł go sobie postawić na stół. Do cukru potrzeba jest kawa lub herbata, a na takie zbytki ludzie nie mieli. Herbatę pili panowie z cukrowni, państwo ze dworu, no i jeśli już kto koniecznie chciał, to u Cytrona. jako przyprawę do araku.

A więc mimo obfitości cukru na miejscu nie było się miejscowym słodziej, niż wtedy, gdy fabryki nie było. Starsi ludzie, tak pod sześćdziesiątkę, pamiętali te czasy, gdy w Gołębiowie najwyższą budowlą była wieża kościelna. Później wyrósł nieopodal i przewyższył ją komin cukrowni, cały z czerwonej cegły. Odtąd dużo się tutaj i w okolicy zmieniło. Jedni powiadali: na lepsze, drudzy narzekali, że na gorsze. Spierali się o to chętnie ci starsi, ale młodzież urodzona już po zbudowaniu fabryki prostru nie mogła wyobrazić sobie Gołębiowa bez tego wysokiego, pod niebo sterczącego komina, który wydmuchiwał z wąskiej szyi całe chmury dymu. Mogłeś odejść na milę w po-

la, a wciąż widziałeś tę figurę ponad otoczenia. Zawsze prosta, wszędzie widoczna. Latem nie kurzyło mu się z czuba, bo maszyny stały po zakończeniu kampanji. Oczom, co często na niego spoglądały, czegoś wtedy brakowało. To nie, że naokoło zieleniły się bujne czupryny drzew, dojrzały plonujące niwy, — martwość komina rzucała smętne cienie na wszystko. Sterczał ci nad osadą, niby uschnięty kikot, pisał od nieżywego kadłuba cukrowni. Ale to tylko zdaleka tak się wydawało; i latem w kadłubie przebiegał jak taki ruch. Krzątało się tu kilkunastu ludzi, którzy gmerali w maszynach, czyszcząc je i rzytując przed jesienią robotą. Z oddalenia przecież wyglądał komin smutno. Jakże miło popatrzyć w czasie zimowej kampanji, z tej czy innej okolicy, na czarne supły dymu, wylkbiągające się z jego czeluści. Jeżeli na pogodę — to równo piętrzą się w górę, albo z wiatrem lecą w bok i rozplatają się w szare pasma — jeżeli na zmianę.

Zaraz się okaże, jakie ten osobliwieć miał znaczenie dla miejscowego narodu. Oto człowiek, urodzony w chałupie rzadko kiedy w tamtych czasach wypuszczał się w dalsze strony, między obcych. Znał swoją okolicę i ludzi nieopodal osiadłych. W okręgu, który zakreślił można wzrokiem, żyje, pracuje i umiera. Gdy mu zdarzy się choć na krótko wyruszyć poza granice tego kręgu, minnowoli ogarnia go markotność — i naprawdę czuje się nieswojo, na innej ziemi zgoła w innym świecie prawie. Otóż to...

Takie naprzykład zuchy, jak Józef Kocur, Władek Olszowski i Stasiak Strzecha — i to się też obcyżni zlekli. Było tak: zaczęły chodzić wieści po wsiach, że gdzieś tam, w jakiejś Ameryce potrzeba robotnika. Dużo można zarobić pieniędzy, nawet ziemię zadarmo rozdaia. Robota lżejsza i ciągła, nawet porównać nie można z tą, jaką się ma tutaj podczas kampanji. Tu

na dniewkę i tylko po dwa złote i tylko przez jesień do wiosny, a tam do fabryki (jeżeli kto chce do miasta) chociaż na cały rok zapisać się można. I ustawa jest taka, że zadużo roboty nakładają nie można, a zapłacone musi być sprawiedliwie. O tem wszystkim szeroko rozpowiadał u Cytrona jeden taki agent, co w razie czego wszystko umiał ludziom urządzić do dalekiej podróży.

— Jeżeli nawet, — powiedział wysłuchawszy go rozważny Józef Kocur, — połowę hycel zęgał, to i tak tam reszta lensza od naszej biedy.

— Nawet niema o czem myśleć, — przytaknął Olszowski, który chętny był do jakiegokolwiek nowości, bo robić mu się niebardzo chciało.

To samo chciał powiedzieć po namyśle Strzecha, ale że już tamci rzekli po jego myśli, więc tylko mruknął zgodliwie. Wszystkim trzem dokuczyła harówka w buraczarni. Wstań, człowieku, zima o czwartej rano i dymaj po ziemku i w błocie dwie albo trzy wiorsty z chałupy do cukrowni, aby o piętej stanąć przy bramie. Zaczem czterenaście godzin ciapkał rydłem w buraczanej czarnej mazi i znowu pociemku, po błocie albo i przy lutom wietrze wracaj do domu na nocleg — i takiej to siły na wszystko trzeba! A spóznisz się, albo zagapisz — bierz, bracie swoje siedemdziesiąt groszy od czepnego i już cię niema. Choć zdychaj z głodu albo się powiesz. Znajdzie fabryka stu chętnych na twoje miejsce.

Tak tedy owi trzej podpisał się u agenta na wyjazd, dowiedzieli się, co trzeba było wiedzieć i po paru dniach z lekkim sercem i tobołkami na plecach opuścili osiedle.

Strzępli się nad ziemią świt październikowego dnia. Naprzeciw nich spieszyli do roboty dziewczęta i chłopcy z Justkowa, Olszowy i Suchodębia, spoglądali z podziwem, pozdrowili cza sem mruknieniem przelotnem, ale nie było czasu na gawędę. Potem wyminieli

wszystkich i szli sami we trzech. Nic do siebie nie gadali, uczciwie maszerując, mieli jeszcze przed sobą opętane dwie mile do klei. A każdy z osobna rozmyślał o własnym losie i o wielkim postanowieniu. Przylko wiedzieć, że się opuszcza swoje strony na zawsze. Ze znanego wędruje się w nieznaną. Więc przyjemnie od czasu do czasu obejrzyć się wstecz, rzucić okiem za siebie, póki widać jeszcze znajome domostwa. Nad pustymi polami ćwierkał jakiś ptak na jedną żałosliwie pożałowaną nutę. Za jakie dwie godziny schowają się dachy Gołębiowa za fałdźnością gruntu. Idą przeto chłopcy, idą i coraz częściej się niechęć oglądają. O, i już skryło się wszystko prawie, a serca wędrowców ognia niepokój. Zdaleko coś idą...

Ale jeszcze mogą dojrzeć za sobą komin cukrowni, choć teraz w oddaleniu mały się zrobił i cienki. Sterczy za nimi jak palec Opatrzności i niby to dodaje otuchy, niby to przed czymś ostrzega. Wyraźnie go widać nad płaszczyzną mazowieckich pól. Przeszli więc jeszcze parę stajai i przy stanęli, aby z przerażeniem tchu. Razem, a w sekrecie przed sobą obrócili twarze wstecz ku rodzinnemu osiedlu. I raptem przyblebli: nie widać już komina! Ostał od nich, zniknął! Wokoło rozpościera się szmat ziemi, prawie podobnej do opuszczonych okolic, ale nie, to już nawróski obce! Chociaż biały dzień nad nimi, a mroczno robi się w duszy.

— Nie widać go ani trochę, — odezwał się niepewnym głosem Kocur. Własny głos brzmiał mu nieswojo w ci szy i pustce.

— Ano, nie widać, — westchnął Strzecha. — Potem pomyślał coś jeszcze i dokończył z determinacją: — Raz kozie śmierć.

No, skoro o śmierci mowa — to nic dobrego.

— Gdzieśmy to zawędrowali? —

chwile głową zdumiony Olszowski. Stoi jak słup, mówiąc te słowa.

Wytrzeszczył niebieskawe ślepia, gęba mu się otworzyła ze zdumienia.

— Co myślisz, Władek? — pyta go miękko Kocur, widząc że znaki głębokiej zadumy. Ale pyta się tak sobie, nie przez ciekawość. Sam czuje to samo. Prawica z rozczapierzoną palcami sama znalazła się za uchem. Zsunąłszy czapkę z potylicy na czoło, drapie się Kocur w najgłębszej rozterce.

— Nic nie widać, — szepce Władek, a wciąż szuka oczami w dali ojczystego komina.

— Taki świat drogi, — wzdycha Stasiak Strzecha, — mój ty Boże.

Potem spojrzal pytająco na Kocura tak samo, jak Olszowski. Cóż, Kocur ich miał w świat prowadzić. Niech teraz radzi, mądrala. Do Ameryki mu się zachciało.

Czujał na sobie trwożny, a zarazem mięprzyjazny wzrok towarzyszy, podciągnął się w sobie, chrząknął, rozzejrzał się raz jeszcze wokoło. I oto wolnusiernko, niedbale zbiera z ziemi swoje tobołki. I nie patrząc na kompanów, daje krok naprzód, w tę stronę, gdzie komin został. Potem drugi krok i trzeci, aż poszedł rażnym stanowczym krokiem z powrotem. Na to tylko czekał. Poszli za nim jak w dym, uśmiechając się gupawo. Trochę się ludzie z nich pośmieją tam, w Gołębiowie, trochę będzie wdziwiania z tak rychłego powrotu. Ale niech tam: A gdy w pewnym momencie z za pagórka na widnokręgu przed nimi wychynął czub gołębiowski komin, Kocur wytarł z łafasem nos i rzekł dobitnie:

— A jeden dzień żeśna bez nie utracili w robocie.

— Bez tę Amerykę, — chciał powiedzieć Strzecha, ale nie powiedział. Szkoła słów na próżne gadanie. Juro

I-sze WYDANIE KSIĄŻKI
STANISŁAWA MACKIEWICZA

„Myśl w Obiegach”

zostało całkowicie wyczerpane

II WYDANIE W PRZYGOTOWANIU

Cytaty z głosów prasy:

„Według podróżniczych wrażeń Mackiewicz pogrążonych doskonałą znajomością przedbolszewickich stosunków w Rosji, reżim sowiecki do dziś dnia nie jest całkowicie mocny...”
Arbeiter Zeitung (Wiedeń)

Za to są ustępy tego antyktu równie niedoścignione, jak owy nagłówek „Laudetur Jesus Christus”. Jest coś wielkiego w słowach o prześladowaniu religijnym o biednym, opuszczonym kościele w czerwonej Polsce, w którego murach modły wiernych skierują się w dzień pamięci pałacy, zeptanych w mrokach katakumb. Wybuchy nagle przelotne, codziennie religijność przelewa się w ustępy, zakochanych gorzkim brzytnościem sarkazmu

Czas.

„Cały ten przeraźliwy nonsens ustroju sowieckiego, stwarzający terorem, niewolnictwem i dumpingiem fikcję uprzedmiotowienia Rosji opisany jest przez p. St. Mackiewicz w sposób mistrzowski, przeświadcza o wyjątkowości i jasności wszystkiego, co kiedykolwiek o Sowietach zostało napisane.”
Adam Rómer Dzien Polski.

Istotna wartość książki p. Stanisława Mackiewicza zawiera się w szczególnej wrażliwości na objawy konkretne, które autor chwycił w ich bezpośrednim ujęciu i nie rozprasza w doktrynerskich formułach.
Tadeusz Gruźewski
Express Poranny.

„Można nie podzielać zapatrywań p. Mackiewicza, lecz każdy musi przyznać, że zna on do głębi Rosję i jest obdarzony darownością obserwacji bardzo trafnej.”
L'Echo de Varsovie.

„Znane wrażenia z Rosji sowieckiej wybitnego publicysty Stanisława Mackiewicza w jego głośnej książce „Myśl w obiegach”, lepiej niż opracowania dotychczasowe, bo niepośrednie i zwiastujące obiektywnie, pozwoliły nam wnikać w istotę niebezpieczeństwa od Wschodu.”
Kazimierz Czachowski
Ilustr. Kurjer Codzienny.

„Spostrzeżenie o płynności i nieustającej zmienności warunków życia społecznego i indywidualnego jest bodaj najcenniejszą zdobytą książką p. Mackiewicza.”
A. Ch. Kurjer Polski.

„Umysłowość p. Mackiewicza żywa, czujna, bystra, elektryczna. „Czyta się tę tę wspomnienia jednym tchem, a każda nowa strona przynosi nowe zaskakanie.”
Adam Grzymała Siedlecki
Kurjer Warszawski.

„Najciekawsze i najbardziej wartościowe w „Myśl w Obiegach” jest to, co autor pisze o duchowej winowatości, w której uległa w Sowietach ludzka psychika i ludzki intelekt.”
Meta (tyg. ukraiński Lwów)

Metatytła tytułu odrzuca wprowadzając w styl dzieła, obecność mowy obrazową — ale więcej zachęca do lektury samą tematyką ostatniego pisma p. Stanisława Mackiewicza.

Myśl Narodowa.
„Wrażenia z kilkumiesięcznej podróży, zdobyte dzięki smiałym inwestycjom, przenikliwym darowi obserwacji, znajomości Rosji przedwojennej, oraz historii Rosji bolszewickiej, mają bez porównania więcej wartości od impresji Duhamela, Fabre-Luce, Bertranda i tyłu innych.”
Maria Czapska
Kobieta Współczesna

„...ta otwartość wyróżnia korzystnie jego książkę z potopu wydawnictw, pisanych w stylu „liberalnym”, z obłudnym pochłipaniem i obmarkowaniem się. Wileński monarchista nie ukrywa swojej bezwzględnej wrogości, nie ukrywa, że chodziło mu przede wszystkim o zbadanie zdolności obronnej społeczeństwa Z.S.S.R.”
Miesięcznik Literacki (komunistyczny)

„Książka iskry się wprost bystrymi spostrzeżeniami i uderzającymi ujęciami w dziedzinie obyczajowo-społecznej przedswystkiem.”
Stanisław Stronicki
Połonia (Katowice).

Literatura antybolszewicka, to szereg wyzysk i banałów twierdzeń o wyziedniu plebiscy, o wyższości robotników przy komisarzy i t. d. Od tego szablonu odstępuje praca Stanisława Mackiewicza.

Trudno jednak w literaturze ostatnich czasów o bolszewizm rosyjskim znaleźć tak warty i dobitny sądów o Rosji bolszewickiej, jak w książce St. Mackiewicza.

Władysław Studnicki Słowo.

„Pozwoli bowiem zorientować się, czy krystalizowane tam pojęcia i idee nie występują przypadkiem już i u nas w formie narazie emerytalnej i gdzie się ukrywają. Feljtony p. Mackiewicza, dalekie od takiej nysli, pisane szczerze i obiektywnie, dają doskonałe pole dla tych poszukiwań niebezpiecznych laseczników społeczeństwa...”
Bolesław Zarski
Wiadomości Literackie.

„Młody wileński poseł Piusdzycz Mackiewicz przed kilkoma miesiącami w swojej

KRONIKA

wileńska

CZWARTEK
Dziś 24
Wigilia
Jutro
Boże Narodzenie

W. i. g. 7 m. 40

Z. s. g. 2 m. 50

SPÓWZCZENIA ZAKŁADU METEOROLOGICZNEGO U. S. B. W WILNIE

Z dnia 23 grudnia 1931 roku.

Ciepłota średnia 771.
Temperatura średnia 0.
Temperatura najwyższa +1.
Temperatura najniższa -1.
Opad w mm. —
Wiatr północno — zachodni.
Tętno: stan stały.
Uwagi: pochmurno.

NABOZENSTWA

— Godziny Pasterek. W kościele św. Jana Pasterek odbędzie się o godzinie 6 rano, św. Jakóba — 12 w nocy, św. Piotra — 6 r., po-Bernardyńskim — 12 w., Niepokalanego Poczęcia — 7 r., św. Trójcy — 12 w., Świeca Jezusowego — 12 w., św. Ducha — 12 w., Ostrobramskim — 6 r.

URZĘDOWA

— Konferencja inspektorów samorządu gminnego. W ostatnich dniach obradowała pod przewodnictwem wojewody wileńskiego konferencja inspektorów samorządu gminnego z terenu województwa wileńskiego. Inspektorowie złożyli o. Wojewodzie sprawozdanie z dokonanych w ciągu roku inspekcji i lustracji gospodarki gminnej, przedstawiając stan finansowy gmin i miast niewydzielonych. W dalszym przebiegu udzielono inspektorom szeregu wskazówek i wytycznych w sprawie zatwierdzania preliminarzy budżetowych gminnych na rok 1932-33, dalej w przedmiocie inspekcji robot szarawkowych, inspekcji budowlanej oraz działalności gmin w dziale wojskowym. Wyłonione przez konferencję komisje opracowały tekst uproszczonej instrukcji kancelaryjnej dla urzędów gminnych, ujednoliciły formularz budżetowy gminnych i tryb ksegowania załączników. Zakończono szereg innych spraw samorządu gminnego. Konferencja trwała 2 dni.

— Posiedzenie Wydziału Wojewódzkiego. W dniu 21 grudnia pod przewodnictwem Wojewody odbyło się 54. z kolei posiedzenie Wileńskiego Wydziału Wojewódzkiego, na którym:

rozpatrzone 6 spraw z dziedziny stosowania przepisów antyalkoholowych;
rozpatrzone 37 odwołań od wymiaru po datków i rozmaitych decyzji, powziętych przez organa samorządu terytorialnego;
rozpatrzone i zatwierdzone uchwały Rady Miejskiej m. Wilna z dnia 29 października r. b. w sprawie przepisów obowiązujących co do typu autobusów, kursujących na terenie m. Wilna;
rozpatrzone 12 uchwał organów samorządu w sprawach finansowych;
zasłuchano opinie Wydziału Wojewódzkiego w przedmiocie projektów zmian podziału administracyjnego powiatów brzeskiego, wileńskiego, wileńskiego — trzeckiego i oszmiańskiego;
dokonano repartycji kosztów przedwojennych wileńskich wojewódzkich organów kolegiacyjnych na okres 1932-33 roku budżetowego, przyczem zmniejszono te koszty w porównaniu do okresu poprzedniego o 15 proc.;
uchwalono przekazać co dyspozycji Wojewódzkiego Komitetu do Spraw Bezrobocia kwotę 500 złotych na rzecz pomocy dla bezrobotnych.

MIĘSKA

— 100 tys. złotych na roboty kawałkowe. Magistrat otrzyma w najbliższym czasie z zakładu ubezpieczeń pracowników miejskich pożyczkę w wysokości 100 tysięcy złotych na dokonanie robót kanalizacyjnych w mieście.
— Sprawa lombardu miejskiego. Odbyło się posiedzenie Rady Kasy Komunalnej m. Wilna, na którym omawiano sprawę obciążenia stanowiska kierownika lombardu miejskiego. Wobec rozbieżności zdań ostatecznej decyzji nie powzięto. Jedynie zalecono Kasie czynić starania, by lombard był otwarty jeszcze przed 1 kwietnia.

WOJSKOWA

— Awanse w wojsku. — Ostatni Dziennik Personalny M. S. Wojsk. przynosi szereg nominacji w korpusie oficerskim.
M. in. został mianowany majorami — rotmistrzowie: Józef Juniewicz, St. Starzec, Włod. Kasperski, Bohdan Zaremba, Zdzisław Dziadulski, Józef Plackowski i Jan Monwid.

Na podarunki świąteczne dla młodzieży

Wydawnictwa
ZYGUNTA NAGRODZKIEGO:
URODZONY JAN BĘGORÓZ poemat
Władysława Wysockiego z ilustracjami
Andriela 8r. 80
GAWĘDY I PIOSENKI Władysława Wysockiego z ilustracjami
J. J. Hoppena 1
NAPJĘKNIJEZ BĄKI POLSKI:
Wybor bajek Głuskiego, ilustrował
J. J. Hoppena 1
Do nabycia we wszystkich księgarniach w Wilnie i na prowincji.

oryginalnej, wspaniale napisanej książki o Ryli, która stała się jedną z największych najej powodzenie książek w polskiej literaturze powojennej. — edmalował nam wrażliwe niebezpieczeństwo państwa. Sowietów dla Polski i całej Europy, niebezpieczeństwa, wobec którego wszystkie inne troski na plan drugi ustąpić muszą...”
Immanuel Birnbaum
Vossische Zeitung.

„Panie Mackiewicz! Należy pamiętać, że takich pierwszych spotkań komunistów i komunistek mamy w Związku cztery miliony, a w czasie najbliższym będziemy ich mieć pięć milionów.”
Związek (komunistyczny, Mińsk Lit.)

„p. Mackiewicz dał nam do zrozumienia, że jest przedswystkiem artystą — artystą, dla którego momentem decydującym jest jego własny temperament i cechująca każdego artystę niezapokojona ciekawość!”
Irena Zdanowiczowa
Życie Nowogrodzkie.

Okólnik Dyrekcji Poczt w sprawie wysyłania życzeń świątecznych i noworocznych.

Utarł się z wyzwala, że pp. naczelnicy Urzędów Pocztowych i Zarządów Technicznych P. i T. wysyłają na imię prezesa Dyrekcji Poczt i Telegrafów, jako też na imię naczelników Wydziałów i innych władz życzenia świąteczne i noworoczne.

Jakkolwiek ten tradycyjny zwyczaj jest powszechnie przyjęty, to jednak uważamy wysyłanie życzeń w bieżącym roku podczas panowania tak wielkiego kryzysu gospodarczego i przy tak wielkim bezrobociu za nieodpowiednie i nie na czasie.

Zabramiam przeto wysyłania na moje imię życzeń świątecznych i noworocznych, — i to tem więcej, że koszty z tem połączone byłyby odpowiednio mogą przyczynić się w znacznej mierze do złagodzenia panującej biedy i ostarciż niecierpieliśmy.

Byłoby więc wskazane, aby kosztu połączone z projektowanymi wysyłką życzeń świątecznych i noworocznych słałai p. p. naczelnicy i kierownicy na cele bezrobocia i w tym też kierunku wpływać na podległy im personel.

Zabrane w ten sposób ewentualne dobrowolne datki na rzecz bezrobotnych należy wpłacić wraz z normalnymi wpłatami na ten cel za styczeń 1932 r. na konto ckekowe Dyrekcji w P. K. O. Nr. 10032.

Zauważam również, że pożądanem byłoby też zaniechanie wysyłania w tym roku życzeń świątecznych i do innych władz, urzędów i instytucji, a zamiast tego zafinansowanie p. wnych, chociażby minimalnych datków na rzecz bezrobotnych.

Prezes inż. Zuchowicz

WĘGIEL I KOKS

Wileń, Jagiellońska 3. tel. 8-11.

„Mrozek”
— Komunikat Dyrekcji, Dyrekcja teatrów miejskich ZASP w Wilnie komunikuje, że w okresie świątecznym kasa teatralna czynna będzie od 11 rano do 8 wieczorem. Dnia we czwartek dnia 24 b.m. kasa czynna będzie od 11 do 2 po poł. W dniu świątecznym kasy czynne będą normalnie.

CO GRAJA W KINACH?

Kino Miejskie — Chata za wsią.
Helios — Buster na froncie.
Hollywood — Narzeczona z loterii.
Casino — „Salto-Martale”.
Stylowy — Miłość pani Chaney.
Światowid — Broadway.
Pan — Noce marokaskie.

WYPADKI I KRADZIEŻE

— Usiłowanie zabójstwa. Został aresztowany Franciszek Sienkiewicz (Szawrowy 5), który onegdaj wtargnął do mieszkania Baniewiczów (Traktat Batorego 22) i oddał do zamieszkującej tam 20-letniej Franciszki Siemaszko kilka strażów rewolwerowych. Siemaszko wyszła z opresji cało i nim zdołała wszcząć alarm napastnik zbiegł.

Oskarżono się, że powodem usiłowania zabójstwa była zemsta wynikła na tle porachunków osobistych. Siemaszko była narzeczoną Sienkiewicza i niedawno doszło między nimi do zerwania.

— „Tropenfelddarze”. W dniu 22 b.m. ze sklepu Szymańskiego Emmy, przy ulicy Mickiewicza, nieznani sprawcy skradli 9 metr. krepy, wartości 400 zł.

— Okradzenie mieszkania. — Z mieszkania mieszkającego na skrzyż. Najartego Abrahama (Wrobla 7) w dniu 21 b.m. zdieje skradli palto zimowe oraz śpięce, łącznej wartości 300 zł.

— „Dziękuję na dworcu kolejowym. Gorgonowej Gabrieli, zam. w maj. Stosin, gm. Soly, na dworcu osobowym Wilno skradziono z kieszeni palta 136 zł. Wokowskiego Włolda (Wojskowa-cmentarna 5), który dokonał tej kradzieży, zatrzymano.

— Pajeczarsz. W dniu 22 b.m. ze strychu domu Nr 5, przy ulicy Bosackiej na szkole Frankla Abrahama skradziono białe wartości 100 zł. Ustalono, że kradzieży tej dokonał Litwinenko Jan (Grodzińska 13), który został zatrzymany. Litwinenko do kradzieży przynajmniej osiadczał, że białe sprzedad nieznajemu osobnikowi na ul. cy Żydowskiej.

Falszywe pieniądze. — Sienkiewicz Adam, zamieszkały we wsi Gubiny, gm. przysienickiej dostarczył do 5-go Kom. PP. fałszywą 5-złotową monetę, którą otrzymał za sprzedane drzewo. Moneta zakwestionowana.

WĘGIEL I DRZEWO

Wileń, Jagiellońska 3. tel. 8-11.

Wzmocnienie pożyczek na odbudowę

Dnia 21 i 22 grudnia r. b. odbyły się posiedzenia Wojewódzkiej Komisji Odbudowy, na których rozprzono 632 sprawy o umorzenie pożyczek, pobranych przez niezamierzonych poszkodowanych z pow. wileńskiego (295 pos.) i święciańskiego (337 spr.) na odbudowę budynków, zniszczonych wskutek działań wojennych.

Z ogólnej ilości wydanych pożyczek na sumę 300.497 zł. Komisja postanowiła umorzyć 269.984 zł., tj. około 90 proc.

Granica do Kowna nadal zamknięta

WILNO. Mimo, że epidemia tyfusu na Wileńszczyznę całkowicie już wygasła, władze litewskie nie cofnęły zarządzenia o zamknięciu granicy od strony Wilna. Zakaz ten spowodował, że ostatnio granicę przechodził nielegalnie za pośrednictwem przemysłowców.

Zbiegowie z więzienia litewskiego

WILNO. Z więzienia w Olicie zbiegło onegdaj kilku więźniów politycznych. Też zbiegł wójt Mardkacz, który nakłonił się na patrol litewski i mimo gęstych strażów więziennych

przekroczył na naszą stronę. Jeden z nich nazwiskiem Zarnecki był skazanym 8 lat c. więz. Inni dwaj pracowali kiedyś u Pleckajlisa.

Franciszek Siekierzyński

Prezes Stowarzyszenia Weteranów Kresowych 1863 r. Kawaler orderu „Krzyż Walecznych” i „Niepodległości”.
Opatrzony Św. Ś. Sakramentami zmarł dnia 23 grudnia br. w wieku lat 87. Wyprawienie zwłok do kaplicy na cmentarzu po-Bernardyńskim z domu żałoby przy ul. Polickiej 58, nastąpi we czwartek 24 b. m. o godz. 1 po poł. Pogrzeb dnia 26 b. m. o godz. 10 rano na tymże cmentarzu.
O smutnych tych obrzędach zawiadamia
RODZINA

STANISŁAW RENARD

obywatel ziemi wileńskiej,
po k ótkich, lecz ciężkich cierpieniach zmarł w Panu, w maj. Brusznica, z Wileńskiej w wieku lat 50.
Pogrzeb odbędzie się na cmentarzu Ewangelickim (M. Pohulanka) w dniu 21 grudnia br. o godz. 11 rano
O czem zawiadamiają pogrzebem w głąb kłmśniku
Ojciec, żona, córka, syn, siostry i rodzina

Ofiary

Zamiat wizyt i powinszowań Świątecznych i Noworocznych na apel Komitetu do spraw bezrobocia złożyli:

Ksiądz Biskup Sufragan Wileński Kazimierz Michałowicz z. 50, Zukowski Antoni z. 15, Kazimierz Monkiewicz z. 2, Związek Nizszych Funkcjonariuszy Państwowych z. 20,00, Tamara i Wacław Przybyłowski z. 3,00, inżynier Henryk Jenz z. 10,00, Dowodca i Korpus Oficerski i P.A.P. 20,00, Konstancja Mackiewiczowa z. 10,00, Doktorstwo Sylwanowiczowa z. 5,00, Zarząd Wojewódzki Związku Inwalidów Wojennych z. 10,00, Sadowska Helena i Sadowski Cezary, Sędzia Okręgowy Sledczy w Postawach z. 5,00, Zygmunt Borkiewicz, Prezes Związku Ziemian z. 15,00, Zofia i Wacław Weckowiczowa z. 5,00, Jan-Michał Falewicz emeryt z. 2, Bronisław Dudziński sędzia z. 5, Pracownicy S.A. „Polskie Radio” Rozgłosz w Wilnie — Dyr. R. Pkiel, Dyr. W. Hulewicz, inż. T. Dabrowski, H. Hohendingerowa, prof. M. Józefowicz, H. i A. Daunowie, M. Galski, H. Grabowski, T. Byrski, O. Bageński, J. Piekarski, J. Zapasnik, N. Głinski, B. Szymanowski, S. Kozierkiewicz, J. Odolski, J. Gwozdowski, L. Siemaszko, P. Bujwid, A. Koniewicz, T. Leszczewski, A. Buraczewski, S. Druel — z. 157, Wacławowstwo Pac Pomernacy i Wacław Kozłanowa z. 3, E. Ratyński Prezes Izby Skarbowej z. 10, Karolstwo Bohdanowiczowa z. 5, Aleksander Meyszto wicz z. 5, Marjan Hr. Broel Plater z. 5, Bohdan Sachno z. 5, Kazimierz Świętecki z. 5, Józef Rychlewicz z. 5, Wacław hr. Mohl z. 5, Tadeusz Bystram z. 5, Doktor Bolesław Hanusowicz z. 6, prezes Bronisław Izycki-Herman z. 20.

Z. i M. Swędowie na Złotek Im. Marys z. 10, Pulkownik Karol Schrotter dla najbardziej niejących z. 20, kap. S. S. S. kpt. Giesior, por. Lewandowski, por. Laurentowski, z KOP na Ochronkę im. Marszałka Piłsudskiego z. 15, Mieczysław Bohdanowicz i Maria Bohdanowiczowa na Polską Macierz Szkolną z. 25, Jan Lachowicz dla wysiedlonych z Litwy z. 10, Jan Lachowicz na wykupienie maszyn dla H. S. z. 10, Pulkownikstwo Kazimierzowstwo Radwan-Rybicy na wdowy i sieroty po poległych wojskowych z. 10, Zarząd Wojewódzki Związku Inwalidów Wojennych na Ochronkę im. Marszałka Piłsudskiego z. 10, Hansen Arwid na Przytulce dla ościenników z. 5, W. i J. Lukaszewicz na wykupienie maszyn dla H. S. z. 3, Doktorstwo Baginisz na Kolonie letnie dla dzieci gruźliczych z. 7, Doktor E. Mancewicz na Dom Dzieciątka Jezus z. 10.

Zamiat życzeń świątecznych J. M. rektor USB prof. Aleksander Janiszewicz przesłał dla bezrobotnych na ręce Wojewody gen. Komitetu 100 zł, Centralna Kasa Spółek Rolniczych Oddz. Wileński — 30 zł. Zamiat życzeń Świątecznych i Noworocznych składa Konstanty Syrewicz na Złotek Im. Marys z. 3.

Zamiat życzeń świątecznych i noworocznych Prezydent i Magistrat m. Wilna przekazuje 100 zł. Wileńskiemu Wojewódzkiemu Komitetowi do walki z bezrobociem.

Pracownicy Wydziału Powiatowego Sejmiku Wileńsko-Trzeckiego: Wincenty Orlicki, Zemon Lawski, Stefan Wasilewski, Helena Dynowska, Józef Olichwier, Mikołaj Krucko, Bolesław Polkowski, Michał Wojewódzki, dr Stanisław Fececz, Romuald Gmrowt-Dziwiałowski, Józef Byczkowski, dr Stefan Stankiewicz, Jan Macutkiewicz, Otton Dowłaz, Mieczysław Rode, Justyn Zaleski, Leon Łoś, Julian Gwozdowski i Kazimierz Samorski zamiat wizyt świątecznych i noworocznych złożył na gwiazdke dla dzieci bezrobotnych fabryk w Nowo-Werkach z. 25 gr. 50.

Sprostowanie. W n-rze wczorajszym zamieściłmy ofiarę p. S. N. bez wskazania celu, na który złożona została. Niemniej wyjasniamy, że ofiara powyższa w kwocie zł. 20 przeznaczona była przez ofiarodawcę na rzecz Szkoła Nauczycielek Weteranek.

Pozatem bezpośrednio instytucjom złożone zostały następujące ofiary: zamiat życzeń i powinszowań Świątecznych:

Marian Biernacki na Komitet Pomocy Bezrob. z. 10, St. i Janina Jastrzebscy na II Konf. Tw. Sw. Wincętego a Paulo z. 3, Zygm. i Hel. Hryniewiczowie na II Konf. Tw. Sw. Wincętego a Paulo z. 5.

Dr. Butkiewicz Leon na Kom. „Chleb Dziecin” z. 8.

A. W. dla rodziny wysiedlonej z Litwy z. 3. S. B. dla najbardziej niejących z. 2.

Włcze zęby

— Z Kola Historyków St. USB. — Kola Historyków zaprasza swych członków zstąpić w Wilnie na szminkę, która odbędzie się w niedzielę dnia 27.12 br. o godzinie 17.30, w lokalu Kola.

Zginął pies-bokser

maści płowej z czarnym pyskiem, wabi się „Tea”. Odprowadzić za wynagrodzeniem, Marj. Magdaleny 4-7. Przywłaszczenie będzie ścigane sądownie.

Tylko
ORYGINALNY
THE
CHAMBAR
jest najlepszym środkiem
przeciw
OBSTRUKCJI

Z powodu śmierci drogiego
nam ojciec i brata
s. i p.

Aleksandra Czyża

pozwalmy s. b. tą drogą złożyć podziękowanie: Radzie i Magistratowi m. Osmian w osone uumistrza pana Józefa Zubeła, duchowieństwu parafialnemu rz. kat. w osobie księdza proboszcza Walarjana Holaka, O. honiczkiej Straży Miejskiej w osobach prezesa p. inż. Dawida Strulacza i komendanta p. Altera Karpa, Głównemu Zarządowi Związku U zestawów o. I Korpusu W. P. na wschodzie, przyjacielowi zmarłego b. burmistrzewi p. Janowi Świecizow, panu staroście Wiktorowi Żużyskiemu, panu Michałowi Łukieskiemu, współkolegom pracy członkom Powiatowego i Miejskiego Samorządu oraz tym licznym współobywatelom (chrześcijanom i żydom), którzy tyle okazali nam współczucia i serdeczności w tych ciężkich dla nas chwilach.

Bohdan Czyż (syn)
Witold Czyż (brat)

Radjo wileńskie

Piątek, dnia 25 grudnia 1931 r.
11.00 Tr. nabożeństwa z Ostrzy Brama na wszystkie polskie stracie, 16.30 Aud. dla dzieci starszych: „Ostatni szturm” — fragment z „Potopu” Henryka Sienkiewicza, 17.00 Koncert chóru „Echo” pod dyr. prof. Wł. Kłanowskiego, 17.30 Koncert popularny, 18.00 Koncerty: Witold Jodko (cytra) i orkiestra salonowa pod dyr. Franciszka Tchorza, 18.30 „Szopka krakowska a teatr Szekspira” felj. z Warszawy, wygł. M. Diensl-Dąbrowa, 20.00 Suchowisko — „Ta trzecia” nowela Henryka Sienkiewicza, zradził przez Witolda Hulewicza, 22.00 „Siońce i satechci” — reżyja w wykonaniu zespołu „Rewji wileńskiej”.

Sobota, dnia 26 grudnia
10.15 Tr. nabożeństwa z Poznania, 12.15 Poranek z Filharmon. Warsz. 15.55 Aud. dla dzieci ze Lwowa, 16.40 „Bajki Piotra Borowego, delegata Orawy do Wilsona” — odczyt wygłosz. z Krakowa, ks. dr F. Machay, 16.55 Muzyka z płyt. Piesni religijne i kolędy, 17.15 „Domy bez rak budowane” odczyt z Krakowa, wygł. prof. M. Siedlecki, 19.00 „Boże Narodzenie” — litewska audycja literacka, 19.20 „Pasterka” — feljton świąteczny, wygłosz. Leon Welfeiko, art. dram. 21.25 Suchowisko — „Wigilia w świętych” — Wan. Dobaczewski, Reżyserja Haliny Hohendingerowej, 21.55 „Wiara w zwycięstwo” — feljton wygłosz. z Warszawy, J. Kaden-Bandrowski, 22.10 Koncert chopinowski z Warszawy (J. Turczyński), 22.40 Kom. i muzyka taneczna z Warszawy.

Niedziela, dnia 27 grudnia
10.00 Tr. nabożeństwa ze Lwowa, 12.15 Poranek symfoniczny z Warszawy, 13.15 Tr. zawodów hokejowych z Katowic (Polska — Kanada), 15.15 Aud. żołnierska z Warszawy, 15.55 Aud. dla dzieci z Warszawy, 16.40 „W rocznicę powstania wielkopolskiego” — odczyt z Warszawy, wygłosz. M. Wierzbński, 17.00 „Opłatek Rodziny Radjowej”, 17.30 Wiadomości, przyjemne i pożyteczne z Warszawy, 19.00 Litewska audycja literacka oraz pieśni litewskie, 19.20 „Co się dzieje w Wilnie” pogad. wygłosz. prof. M. Limanowski, 22.40 Kom. i muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 28 grudnia
14.15 Muzyka z płyt. 15.45 Audycja dla dzieci: I. Szopki i Jasełka — feljton Coci Hali, 2) „Wigilia na obczyźnie” — opowiadania R. Malaczewskiego i A. Dygaszkińskiego, 16.50 Nowe płyty gramofonowe, 17.10 „O perłach japońskich” odczyt ze Lwowa, wygłosz. dr J. Fryling, 19.00 „Oddziaływanie cywilizacji na Litwie w toku dziejów” — odczyt litewski wygłosz. Antoni Gąstwił, 19.20 Muzyka z płyt. Lehar — Wyjakt z op. „Hr. Luxemburg”, 19.25 „Co nas boli?” — przeładowy Mikoł. p. m. 19.35 „Z powodu jubileuszu prof. Stanisława Kosińskiego” — pogad. wygłosz. WKW, 20.15 „Cyrułik Sewilski” — opera komiczna w 3 akt.

nowogrodzka

— Urlop p. wojewody Biernackiego. — W dniu wczorajszym, w godzinach popołudniowych p. wojewoda Biernacki wyjechał na kilkutygodniowy urlop zdrowotny.

Powrót p. wojewody Biernackiego spodziewany jest w końcu miesiąca stycznia względnie w początkach miesiąca lutego 1932 roku.

Ofiary na rzecz bezrobotnych zamiat życzeń świątecznych. Wobec przejawienia inicjatywy społeczeństwa — Komitet Powiatowy

sania na maszyn
. Orzeszkowej 11